MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 44. WARSZAWA, 15 PAŹDZIERNIKA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

NA DWA FRONTY

W OSTATNICH czasach na polskiej arenie ze szczególną natarczywością narzucają się oczom emblematy wolnomularskie. Minęły czasy wstydliwego ich ukrywania, bo istotnie dzisiaj wszystkim już wiadomo, jak rozkładają się karty w rozgrywce o duszę narodu.

Obóz sanacyjny nie ma w ręku zdecydowanego koloru i dziwnemi posługuje się atutami, jakby je pożyczał z rękawa. Zapowiadał jakiś faszyzm, tymczasem patrzy spokojnie na hazard masonerji. Daje to „sanacji" takie oblicze, jak w sklejonym z dwu osobistości fotomontażu. Dosyć czytać dzienniki. W „Gazecie Polskiej" pisze się teraz z powodu procesu o „łzawym masońskim sosie, jakim podlewano męczeństwo brzeskie", w drugim radują się z tegoż procesu publicyści, znani ze swych klejonych główek: pół czapki frygijskiej, pół — jarmułki, widma agentur obcych.

Nigdy nie widzieliśmy tak chełpliwej parady fartuszków, kielni, pionów — owych śmiesznych a upokarzających inteligencję emblematów. Znalazły się one na widowni wtedy, gdy „sanacja" uradziła, że największy kłopot jest z duszą polską i że trzeba się wziąć do kultury. W dużym planie, obliczonym na „piatiletki", na przeróbkę pokoleń, przyszła kolej na literaturę i sztukę.

Sezon jesienny 1933 zaznaczył się inauguracją teatrów, objętych przez „sanację". Cała jej prasa wystąpiła z uroczystemi artykułami, witającemi nową erę dramatu polskiego. Darmobyśmy wczytywali się w puste frazesy; niczego wyrozumieć nie można. Ale wszystko się zrozumie, spojrzawszy na afisz pierwszego przedstawienia: „Sprawa Dantona". Jest to galowy popis masonerji. Coś się śni w głowie „sanacji", że zrywa z demokracją radykalną, z parlamentaryzmem, że wraca do czasów przed rewolucją francuską i deklaracją praw człowieka, ale gdy przychodzi deklarować się w dziedzinie pracy kulturalnej, wykonywa cały plan wychowania według recepty tej rewolucji, a nawet symbolicznie manifestuje rewolucję, będącą największem masonerji dziełem na przełomie poprzednich stuleci.

Nie było w teatrze żadnej innej potrzeby wystawiania „Dantona", tylko potrzeba symboliki. Bo przecież nie wartość dzieła decydowała: trzeba oswajać umysły z techniką rewolucji. Oczywiście czytamy wnet komunikaty, że sztuka ta dawana będzie popołudniu dla młodzieży szkolnej.

Nie dosyć mieć teatr w ręku, trzeba mieć czasopismo w celu rozwijania ideologji masońskiej. Zakłada więc „sanacja" pismo tygodniowe wielkich rozmiarów (boć przecie środków nie brak), ale cóż jest dla założycieli główną wartością tego pisma? Treść — nie, bo niema żadnej idei nowej, niema też talentów; główną satysfakcją twórców jest tytuł: PION. Więc taki tytuł, a na marginesie każdej strony symbolika pionu, wyrażona linją — miły sercu emblemat masoński!

Ta chełpliwość jest bardzo znamienna. Świadczy ona, że do tych emblematów dorwali się ludzie bardzo niedojrzali. Hasło ratowania organizacji podjęło pokolenie, umiejące się bawić tylko symboliką,

tak ubogie duchem, że całą swą istność widzi w zaszczycie przywdziewania fartuszka. Nie jest to tylko śmiesznostka, ani ciekawostka psychologiczna, bo w istocie cóżby nas obchodzić miała sprawa wewnętrzna tego czy owego jakiegoś literata? Mamy w tem coś więcej, bo wskazówkę, przed kim ten odłam „sanacji“ legitymuje się tak manifestacyjnie ze swych zasług na polu kultury polskiej, jako jej burzyciel.

Niemiło jest pomyśleć, że nasze *forum* dziejowe jest podwójne, że są dwa fronty, o których chwałę walczymy, że roboty na jednym udaremniać może robota na innym froncie, zamaskowanym; że są ludzie i grupy całe, które z czynów swoich nie spowiadają się przed ołtarzem dobra narodowego, bo gdzieindziej — nie wiadomo komu — składają rachunek. Sumieniu ich, hypnotyzowanemu tajemnicą, wystarcza rozgrzeszenie, brane gdzieś za kulisami.

Służenie na dwa fronty, z których jeden jest tajny, ma swoją stronę polityczną i moralną ale też i psychiczną. O dwóch pierwszych niema potrzeby tu mówić, ale na uwagę zasługuje strona psychiczna, skoro mowa o chełpliwości. W duszach, dostępnych zasadom etyki, bywało zawsze potrzebą wstydliwości tajenie przynależności do masonerji. Ludzie moralnie dojrzali, zwłaszcza na stanowisku publicznem, usiłowali uzgodniać patrjotyzm z narzuconemi ubocznie dążeniami. Sprzeczność między tem, co wyznawało się jawnie, a tajemnicą była ich dramatem. U ludzi niedojrzałych moralnie sprzeczność tę załatwia się obłudą i wykrętem — jest to rodzaj sportu. Ale gdy opinja publiczna z jakichkolwiek względów słabnie w swej egzekutywie, wtedy człowiek mały pokonywa tę sprzeczność wprost prowokowaniem społeczeństwa i nie stara się nawet o zachowanie tajemnicy swojej. Życie publiczne staje się wtedy cyniczne.

Trzeba też zważyć, że nacisk psychiczny ze strony organizacji tajnej jest intensywniejszy, niż ze strony opinji publicznej, bo jest bezpośredni towarzysko i połączony z egzekutywą. Jednostka surowa pod względem kultury narodowej przenosi się na tamten tajny front ze wszystkiemi swemi ambicjami; czynić będzie wszystko tylko dla popisu przed tamtym areopagiem i stamtąd czekać nagrody. A w miarę tego oddawania się tam, z tem większą antypatją traktować będzie front narodowy.

Tem się wiele zjawisk daje wytłumaczyć.

Co znaczy w polskich dziejach robota masońska, o tem wiadomo już teraz każdemu człowiekowi oświeconemu. Najmniej o tem wiedzą i chcą wiedzieć Polacy, użyci do robót masońskich. Nowością natomiast dla opinji publicznej jest rozmach radosnej twórczości, nie krępowany tajnością i pośpiech pod hasłem: *carpe diem*. Jak ich to bawi! Jakie to jednak dziecinne!

Łudzono się, że „sanacja“, zetknąwszy się oko w oko z wielkiemi zadaniami, da się porwać wichrowi dziejów, że zbudzą się w niej ambicje twórcze. Dziwić się należy niewybrednym gustom i skromnym ambicjom. Mając wielką historyczną partję do odegrania, ludzie niedojrzali zabawiają się stawianiem domków z kart, które przecież zwieje byle powiew dziejowy. I przed kimże się popisują, komu zasługują? Dla poklasku żydów tyle fatygi!

Przyszła kolej na literaturę. Cóż łatwiejszego, jak wyzyskać konjunkturę w ten sposób, żeby ogłosić masoński PEN-klub za Parnas, a oddział polski tej międzynarodowej instytucji za reprezentację literatury polskiej wobec kraju i wobec świata.

Długo zmasonizowani literaci zabiegali o to, aby ich upaństwowić. Chodziło im nie tylko o pensję, ale i o to, żeby zyskać przewagę nad światem literackim, objawiającym tendencje narodowe. Rzecz sama w sobie dość zabawna dla tego świata i nieszkodliwa: piętnastu zasyconych pisarzy wycofa się z ruchu literackiego i zrobi miejsce tym, którzy nie wstydzą się pracować; ale co ważniejsza— cały obóz literacki przeciwstawi się tamtym piętnastu. Trudno zresztą mieć za złe „sanacji“, że stworzy sobie komitet doradczy w sprawach stylu i ortografji, że będzie miała pod ręką pisarzy, gdy zajdzie potrzeba redagowania dla młodzieży ślubowań w żargonie masońskim. Gorzej rzecz wygląda ze stanowiska politycznego. Polska się uszczupla, biorąc na siebie jawnie misję służenia ubocznym prądom, nie nurtowi zasadniczemu dziejów. Rzecz to bowiem bardzo amatorska takie np. Ideały PEN-klubu. Czynić z tego materjału zwornik w sklepieniu polskiej cywilizacji i cały gmach odpowiednio stylizować,—to wielka ujma dla ambicyj historycznych Polski. Ani Sobieski, ani obcy Batory, których pamięć w tym roku święcimy, tegoby nie robili.

Ma to coś wspólnego z rozprzęganiem rodziny dla związków ubocznych. Teraz cynizm posunął się tak daleko, że ludzie nie kryją się ze sprzeniewierzaniem ślubom: „trójkąty“ są w modzie. Ale źle byłoby, gdyby obyczaje podobne zakradły się do dziejów narodu. Są stanowiska, na których nie wypada się „puszczać“, nie wolno bawić się w miłostki pokątne, a już najmniej przystoi cynizm.

Od ludzi, którzy chcą się utrzymać przy sterze dusz, a toby nie było wygórowaną ambicją u literatów, mamy prawo wymagać, aby szanowali naród i jego najwyższe instytucje i nie pomagali czynnikom z niedojrzałą kulturą moralną sprowadzać życia publicznego na drogi uboczne. Wielkiego aparatu życia narodowego nie można używać do załatwiania spraw osobistych. Boć to osobista afera — bałamucenie się po międzynarodówkach. Interes narodu — to jedyny front dla uczciwego obywatela.

Z. W.

ADWOKATURA POLSKA

(Z POWODU KSIĄŻKI CEZAREGO PONIKOWSKIEGO)

ADWOKATA nie można traktować jako zwykłego najmitę, który za zapłatę obowiązany jest spełniać dane mu polecenia. Adwokat działa w procesie w charakterze rzecznika społeczeństwa i jest takim samym czynnikiem wymiaru sprawiedliwości jak sędzia i prokurator, z tego zaś wynika, że adwokat nie powinien podejmować się prowadzenia spraw prawnie pewnych, lecz moralnie nie czystych, jeżeli bowiem chodzi o dobro społeczne, wymogi moralności są głębsze od przepisów ustawy. Sędzia obowiązany jest stosować przepisy, chociażby były w danym wypadku krzywdzące, adwokat zaś nie powinien pomagać stronie, która domaga się zastosowania takich przepisów ku krzywdzie przeciwnika, a będąc czynnikiem wymiaru sprawiedliwości, musi rozumieć, że wszelkiego rodzaju wykręty, wybiegi i podstępy powinny być tak obce jemu, jak są obce przedstawicielom władzy sądowej, z którymi współdziała w procesie.

Adwokatura więcej, niż jakikolwiek inny rodzaj działalności, wymaga etyki zawodowej. Żaden zawód bodaj nie wystawia uprawiających go osób na tyle pokus, co zawód adwokacki. Składa się na to wiele przyczyn. Przedewszystkiem adwokat, ze względu na sam charakter swej działalności, obraca się w sferze, obfitującej w skały podwodne, całkiem nieznane w innych wolnych zawodach. Jako obrońca interesów procesujących się, znajduje się on w odmęcie walki prawa z bezprawiem, dozwolonego z zakazanem, cnoty z występkiem. Bierze on przytem czynny udział w tej walce, przyczyniając się swą wiedzą i wymową do zwycięstwa jednej lub drugiej strony i w każdej chwili może stać się sojusznikiem bezprawia, wspólnikiem występku, ukrywaczem zbrodni, wrogiem sprawiedliwości.

Adwokatura nie tylko otwiera szerokie pole dla wszelkiego rodzaju nadużyć, ale zarazem daje powołanym do niej dość silny bodziec do tych nadużyć, jakiego nie znają przedstawiciele innych zawodów. Lekarz, który przewleka leczenie, architekt, grzeszący niedbalstwem i niesumiennością, leniwy nauczyciel, sprzedajny literat, wszyscy ryzykują, że narażą się opinji publicznej i w końcu pozostaną bez pracy. Dla każdego z nich jest bez porównania korzystniej spełniać obowiązki sumiennie. Natomiast adwokat, który wyrobił sobie opinję wytrawnego pieniacza, używającego wszystkich środków, aby uzyskać zwycięstwo dla swego klijenta, nie tylko nie pozostanie bez praktyki, lecz owszem ściągnie liczną klijentelę. Kto zaczyna proces, ten chce go wygrać i w większości wypadków nie zastanawia się nad tem, jak się przedstawia sprawa z moralnego punktu widzenia.

Adwokatura w b. Królestwie Polskiem w przeważającej części stała na wysokości zadania, uważała, że adwokat z powołania swego i wobec stanowiska, jakie zajmuje w społeczeństwie, winien być stróżem prawa, oraz zasad sprawiedliwości i słuszności; obowiązany do krzewienia zasady poszanowania prawa i utrwalania pojęć etycznych, winien zawsze stać na straży godności swego zawodu; zawód obrońcy wymaga, oprócz wykształcenia w wysokim zakresie, ustalonych zasad etycznych, wyrobionego charakteru, wyrozumiałości i taktu w postępowaniu, bezinteresowności i wielkiej odwagi cywilnej. Propagowano pojęcie o adwokaturze, jako rodzaju kapłaństwa: każdy z jej przedstawicieli winien dążyć do tego, aby można było stosować do niego następujące określenia:

1. Adwokat — to miłujący swój stan, rozumny, wymowny, prawy, bezstronny doradca i obrońca.

2. Adwokat — to człowiek, któryby naprawdę mógł powiedzieć o sobie: *homo sum, nihil humani a me alienum puto.*

3. Adwokat — to obywatel, kochający swój kraj, przywiązany do swego społeczeństwa, poświęcający mu chętnie wczasy swoje i gotów w każdej chwili do poświęcenia swych interesów prywatnych, gdy zajdzie tego potrzeba.

Po odzyskaniu niepodległości adwokatura otrzymała organizację samorządną, od innych władz niezawisłą, poddaną jedynie ich nadzorowi. Powstałe z wyboru Rada Adwokacka i Naczelna Rada Adwokacka wykazały niezbicie, że samorząd stanął na wysokości zadania i dużo pracy poświęcały, żeby nowe pokolenia adwokatów wychowywać i utrzymywać w tradycji wyżej wspomnianych ideałów.

Dzisiaj zjawia się obawa, czy adwokatura nasza na tym wysokim poziomie długo się utrzyma, z jednej bowiem strony z powodu przeludnienia w adwokaturze zjawia się niezdrowa konkurencja, walka o byt, co łatwo może zdeprawować młode pokolenie, z drugiej zaś strony „mniejszość" (nawet w b. Kongresówce) stanowi większość i wybory do Rady adwokackiej będą od niej uzależnione. Od „mniejszości" zaś, nie związanej moralnie z polskiem społeczeństwem, a wychowanej w tradycjach „geszeftu", trudno wymagać tego wysokiego poziomu etycznego, na którym stała adwokatura polska, i gotowości do poświęcenia swych interesów dla dobra publicznego, gdy tak nakazywać będzie obowiązek.

Piecza nad podtrzymaniem uznanych ideałów adwokatury spadnie obecnie przeważnie na Narodowe Zrzeszenie Adwokatów chrześcijańskich, grupujące, jak brzmi statut, „adwokatów Polaków chrześcijan w służbie dla potęgi Narodu Polskiego", z celem pogłębiania wśród swoich członków kultury narodowej. Na Koło Adwokatów Rzeczypospolitej Polskiej, mające zabarwienie polityczne w sensie współpracy z Rządem, trudno liczyć, gdyż lgną do niego przedewszystkiem oportuniści, dbający o swoje interesy materjalne.

W tej ciężkiej dla adwokatury chwili zjawiła się na półkach księgarskich książka pod tytułem „Sylwety Obrończe", którą napisał ze wspomnień swoich nestor adwokatury, Cezary Ponikowski. Ze wzruszeniem czyta się te wspomnienia. Na pierwszem miejscu mamy sylwetę Henryka Krajewskiego, który w roku 1850, za udział w związku patrjotycznym organizacji wojskowej, mającej za zadanie zorganizowanie się do walki z Rosją, był skazany na 8 lat do katorgi w Nerczyńsku.

Po powrocie do kraju od 18 października 1863 r. do 10 kwietnia 1864 r., to jest do dnia aresztowania Traugutta, pełnił obowiązki dyrektora spraw zagranicznych i zesłany został, pomimo braku dowodów, do gubernji Archangielskiej, skąd wrócił do kraju w 1870 r. Jako adwokat, pomimo swej politycznej przeszłości, cieszył się wielkiem uznaniem ze strony władz rosyjskich sądowych. Cały majątek swój przeznaczył na cele kształcenia i wychowania młodzieży, dając pierwszeństwo osobom stanu włościańskiego.

Jak żywy staje nam przed oczyma Franciszek Nowodworski. W uszach nam brzmi przemówienie jego na pierwszym zjeździe Adwokatury Polskiej we Lwowie, w czerwcu 1914 r., gdy wzywał kolegów do udoskonalenia obrony jednostek i ogółu naszego społeczeństwa od krzywd i bezprawia, do ślubowania gorliwego i nieustannego sprawowania służby publicznej dla dobra narodu i do zestrzelenia się myśli naszych, żeby — jednością silni — czynić obywatelską powinność ustawicznej walki o prawa narodowe i obrony tych praw przed każdym zamachem bezprawia. Czy można zapomnieć o tak charakterystycznym fakcie, że ten bojownik o prawo narodu, w ostatniej chwili życia troszczył się o dobro sprawy narodowej i drżącą już ręką nakreślił słów kilka, odwołując się do marszałków Sejmu i Senatu o pamięć i dbanie o niezawisłość sądów, w której widział ostoję praworządności, niezbędnego warunku dobra powszechnego.

Czy można zapomnieć Adolfa Pepłowskiego, znanego ze swego talentu krasomówczego w sprawach karnych, którego sądy rosyjskie słuchają w skupieniu, nie przerywając mu, gdy nawet omawiał drażliwe kwestje polityczne. W obronach jego zawsze uwidoczniało się, że jest obywatelem-Polakiem, o gorącem sercu, bojownikiem o prawa narodu i jego wolność. Pozatem znajdujemy w pięknej książce mecenasa Ponikowskiego szereg innych sylwetek ludzi charakteru kryształowego, jak Dominik Anc, Józef Karpiński i inni.

Książka ta krzepi serce i świadczy, że naród nasz potrafi przetrwać i trudne chwile, jeżeli w najcięższej dobie mógł wydać bojowników o prawa jednostek i narodu, nie korzących się przed siłą pięści. Oby książka ta znalazła się w rękach wszystkich młodych adwokatów, oby utrwaliła tradycję czcigodną przedstawicieli adwokatury, którzy w czasie niewoli umieli zachować w czystości i powadze dobre imię zawodu! W ich ślady musi iść nowa generacja.

GUSTAW ZABŁOCKI

NIERADOSNY JUBILEUSZ

(5 PAŹDZIERNIKA 1733)

I

LAT temu równo niemal dwieście, 5 października 1733, o godzinie piątej popołudniu, pośród zapadającego jesiennego zmierzchu, nominował biskup poznański Stanisław Hozjusz — żywe wspomnienie innego Hozjusza i innego Augusta — królem polskim „Najjaśniejszego Augusta III". Nominował go biskup nie w „kole" na Woli, gdzie kilkanaście tysięcy rycerstwa, stu kilkudziesięciu senatorów i ministrów, w tem ośmiu biskupów, z prymasem na czele, jednomyślnie obrało było królem — przeszło już trzy tygodnie temu — wojewodę poznańskiego Stanisława Leszczyńskiego, ale—po prawym brzegu Wisły, pod Pragą, w owej wsi Kamieniu, gdzie wybrany był ongi inni mizerny elekt, Walezy i gdzie otwarto teraz sejm, sejm anty-elekcyjny.

Sejm ten, nielegalny oczywiście i buntowniczy, obradował pod osłoną bagnetów rosyjskich, pod osłoną forpocztów korpusu Lacy'ego. „Autorytetu moralnego" dodawało temu sejmowi dwu tylko biskupów, obu dworzan zmarłego Augusta: poznański i krakowski, wspomniany już Hozjusz i Jan Lipski, obaj ludzie bez charakteru i większych zasług — „kortezani". Otaczało ich kilkunastu tylko senatorów i ministrów: na czele — oczywiście — Radziwiłł: Mikołaj, wojewoda nowogrodzki, „słaby i nieszczęśliwy człowiek, z wyraźnemi śladami umysłowego rozstroju,... a całkiem opanowany przez żonę, Barbarę Zawiszankę", córkę znanego pamiętnikarza, babę hardą, chciwą i przekupną; dalej — Wiśnowiecki, którego charakteryzowałem już niedawno, z rodu Jaremy i Michała, więc „trawiony retrospektywną za berłem królewskiem tęsknotą, ostatni przedstawiciel swojego upadającego i umierającego rodu", kanclerz wielki i regimentarz litewski, „dziwnie dosadny i malowniczy typ polsko-litewskiego magnata starej daty; pan wspaniały i hojny, nadzwyczaj popularny u szlachty, choć nie tyle miłowany, ile groźny, przenikniony dumą niezmierną, niezmiernym dla własnego gniazda książęcego szacunkiem i w tem wysokiem o własnej krwi pańskiej pojęciu czerpiący jedyne wyższe pojęcie własnych obowiązków godności i honoru... i całkiem prowadzony na pasku przez żonę, Teklę Radziwiłłównę,... wyrachowaną i chciwą wdowę po wielkim Flemmingu..." Sekundował temu Wiśniowieckiemu Michałowi, w marzeniach swoich II-mu, brat jego, kasztelan krakowski, w marzeniach swoich Janusz I-szy, cynik i sceptyk.

To byli magnaci z dziada pradziada, dumni kniaziowie litewscy oraz ruscy, hardzi, ale tępi, za nimi zaś czaił się „sekret", „sekret", który rozgryzł już cytowany przez nas Askenazy, *„le secret de feu le roi Auguste"*. „Sekret" ten stanowili, kierowani niewidoczną dłonią, uczestnicy przesławnego bractwa królewskiego „Wrogów wstrzemięźliwości", paladyni „Okrągłego Stołu" Augustowego, poplecznicy Brühlów, Manteufflów i Flemmingów, dorobkiewicze i akwizytorzy.

Pośród tych górował rangą Mniszech, marszałek wielki koronny, znany nam już z „Orszaku" Augustowego, kreatura „Mocnego", jurgieltnik rosyjski, kandydat pruski, mąż Tarłównej i ojciec Potockiej, tak więc „wąchający się", w razie potrzeby, i z opozycją, podczas gdy małżonka jego, „wyższa wytrawnością i sprytem od wojewodziny Radziwiłłowej i nawet od kanclerzyny Wiśniowieckiej", stanowiła, razem z dwiema tamtemi damami, istne *trio* czarownic w szekspirowskim dramacie elekcyjnym.

Przy Mniszchu uwijał się gładki i giętki *monsignor* Lipski, także dobrze nam znany (on to, owego 5-go października, intonować będzie w kościele Bernardynów na Pradze solenne *Te Deum* i on to ściągnie niepewnego zrazu marszałka do „Pałacu Saskiego”, aby odebrał tam piękne „*bijou*” drezdeńskie dla małżonki). Uwijał się dalej w temże towarzystwie późniejszy także duchowny, Antoni Dembowski, referendarz koronny, „człowiek“—charakteryzuje go Askenazy —„zdolności powszedniej, ale niezwykłej rutyny, nabytej pod Szembekiem, byłym kanclerzem w. k., u którego przez szereg lat był regensem kancelarji”. Ten, z czasem zgoła od Lipskiego odmienny, biskup-patrjarcha, narazie był świeckim jeszcze i wątpliwej wartości obywatelskiej dworakiem saskim: „wziął na korupcje (od Sasów) ogromną sumę 21 tysięcy dukatów” i sypał niemi wraz z Lipskim, 10 tysięcy dając kanclerzynie Wiśniowieckiej, 8 przeszło — marszałkowi Bielińskiemu, 2 zaś — własnemu szwagrowi, Małachowskiemu, staroście opoczyńskiemu, później kanclerzowi. Obok zaś dwu tych tuzów kancelaryjnych krzątały się inne jeszcze wokół kandydatury saskiej figury dworskie: taki Cetner, kuchmistrz korouny, na Rusi, taki Dunin, kasztelan radomski, w Małopolsce, taki Sapieha (Michał) na Podlasiu.

Marszałkiem zaś sejmu tego kamieńskiego został Antoni Poniński, instygator koronny, „naprzód sługa dworski, potem Stanisławczyk, teraz znów Augustowiec", stryj osławionego Adama, ojciec innego wolnomularza Jana, sam zaś wierszokleta łaciński, zinwentaryzowany świeżo przez Sinkę i, jak widać z tych jego wierszydeł, podejrzany libertyn w stylu współczesnych „*roués*” francuskiej „Regencji”, zwolennik i propagator — *avant la lettre* — haseł głoszonych później przez Rewolucję francuską.

II

Najjaśniejszy zaś elekt z pola pod Pragą, August III, nie był zapewne obskurantem tym, za jakiego mają go dzieje. Nie był on oczywiście „filozofem dobroczynnym” w stylu kontrkandydata Leszczyńskiego, wolnomyśliciela z krwi dyssydenckiej, on, także z krwi dyssydenckiej, katolik - zelota. Z innego, ogłoszonego już przez nas szkicu, znamy dramatyczne jego młodzieńcze, konwertyckie przeprawy; z opublikowanej zaś dawniej przez nas, mistrzowskiej charakterystyki pióra Flemminga[1]), wyglądają dobre i złe, ujemne i dodatnie cechy charakteru królewskiego:

„August“ — pisał ten „*bon-vivant*“ doby poprzedzającej o Delfinie drezdeńskim — „lubi zbytek i wystawność i dumny jest ze swojego smaku w tych rzeczach. Lubi (też) biesiady, dobrą kuchnię i wino, ale nie popełnia co do tego nadużyć. Gustuje w muzyce włoskiej. Hołduje zwykłym skłonnościom książąt: polowaniu, koniom, psom i t. d.“

August, podobnie jak ojciec, był mecenasem: „W tobie odżyła gwiazda medycejska” — wołał wszak do nabywcy „Sykstyny“ pochlebca — Algarotti, większy zaś od tamtego Winckelmann, zawdzięczający mu niejedno stypendjum, nazywał go niemieckim Tytusem. Tych parę lat, spędzonych na Zachodzie, wycisnąć musiało pewne piętno na strukturze duchowej królewicza, odniemczając go psychicznie, a jednak „boszowstwa“ wrodzonego pozostało w nim coniemiara i razić musiało, choć grubych nieraz i w gruncie rzeczy nieokrzesanych, ale mocno już pudrem francuskim posypanych Sarmatów.

III

Zamiłowanie do biesiad i wina odziedziczył August po całej filjacji antenatów: po ojcu, nieśmiertelnym fundatorze „Bractwa wrogów...“; po dziadzie, o którym pisał z pod Wiednia Sobieski: „*ivrogne, simple et nonhomme*”; po Janach Jerzych, po Chrystjanach, po Augustach.

Jaki był smak, jaki gust tych uczt późnosaskich, o tem pouczają nas zapiski współczesne. Przyjrzyjmy się np. imieninom królewskim, obchodzonym w niezdobytem jeszcze przez Prusaków Dreźnie, 3-go sierpnia 1756 r.

Przy stole siedzi blisko już 60-letni, ale zawsze pełen apetytu (który o śmierć go przyprawi) monarcha; obok niego—królowa, następca tronu Fryderyk-Chrystjan i pełna temperamentu jego małżonka, Marja-Antonja Walpurgis; dalej — czterech młodszych królewiczów i dwóch nieprawych braci królewskich: syn Lubomirskiej, t. zw. „kawaler saski“ oraz hrabia Cosel; dalej—ministrowie Brühl, Wackebarth, Loos i Wessenberg, wtajemniczeni częściowo w orgje starego dworu; z Polaków wreszcie — Brühla zięć, marszałek Jerzy Mniszech, kuzyn królewski, stolnik August Moszyński i Lubomirski.

Pani Oehmichenowa, przyjaciółka referendarza Podoskiego, dostarczyła pono, zwyczajnym trybem, z Warszawy czy Gdańska co rzadszych smakołyków na dwór łakomego króla. Jadą na stół monarszy — ostrygi i żółwie, pstrągi i węgorze, dziki i kuropatwy: osób siedemnaście, potraw dziewiętnaście — oto są cyfry „szpajzecetlu“ dworskiego.

Po uczcie zaś król — namiętny myśliwy, co, dzieckiem już, jeździł z ojcem na podjazdy, co później kochał się w tokach cietrzewich i masowych obławach, jak słynna owa, urządzona na cześć jego przez Radziwiłła w Ujazdowie, idzie na łowy.

Drezdeńskie wszakże łowy wyglądały skromniej od warszawskich, ograniczały się nieraz do prostego strzelania do tarczy; na „*s'Kolosale*“ nie było stać oszczędniejszych z natury Niemców, którzy szerzej pozwalali sobie dopiero w Polsce. Za to nagrody w tym turnieju grzeszyły najbardziej już „boszowskim“ smakiem: żywa tam gęś figurowała pośród nich jako *Signora Angela l'amorosa* z komedji włoskiej, przebrana i spętana w wystawnej sukni dworskiej, dalej małpa przystrojona jako „Arlekin“, zając jako „Kryspin“, królik jako „Scaramuzzo“, indyk jako „Doktór (Bolończyk)“ itp.

Wieczór imieninowy spędzał solenizant także pośród figur komedji włoskiej w ukochanej swojej operze. Tam czuł się on najlepiej — lepiej chyba tylko w kniei krinthalskiej czy hubertusburskiej. Tam słuchał rozkosznych treli pięknej śpiewaczki „Faustyny“, a raz, kiedy zagadał się z otoczeniem, poufała Włoszka stanęła tuż przed jego lożą i — nie wypadając zresztą z tekstu roli—zanuciła:

„Milcz, oto rozkaz mój dla ciebie!“ („*Taci, io ti commando*“).

IV

Faustyna Bordoni przedstawiała w życiu Augusta pierwiastek „*des ewig Weiblichen*“:

[1]) „Ze studjów nad epoką saską“, Kraków 1913.

„Ciągnie go nieprzeparcie do kobiet“ — pisze o nim dalej Flemming,—„chociaż gardzi temi, które się źle prowadzą“...

Dobrze się prowadziła ostatnia królowa polska, Marja-Józefa, córka cesarza Józefa I i Marji Amalji ks. palatyńskiej. Dobrze się prowadziła, ale Katarzyną rosyjską czy Karoliną neapolitańską być też nie mogła, już dla notorycznego braku urody.

„*She is ugly beyond painting*“ (Jest niewypowiedzianie brzydka)—pisze o niej kawaler Hanbury Williams i ma w tym względzie rację: widzieliśmy wszakżeż ostatnio plastyczny wizerunek jej na Wawelu, a jest inny w Częstochowie—krótko mówiąc: straszy!

Ta „uroda“ sprawiała, że nieszczęsna Marja-Józefa truchlała długie lata o serce swojego „Guschti“. Stąd wyradzało się w zacnej zresztą Habsburżance pewne intryganctwo czy skłonność do sekatur. Niema wszakże w niechętnej swej nawskroś charakterystyce racji cytowany Sir Charles, kiedy, mieniąc ją znów „*malicious beyond expression*“ (niewypowiedzianie złośliwą), pastwi się nad nią ze swej strony, że jest „wielką dewotką, ale ni trochę dewocja ta nie czyni jej lepszą i że popełnia ciągle grzechy powszednie i ciągle za nie domaga się rozgrzeszenia“.

Zapewne — libertynowi, co czuł się później tak swojo na dworze Katarzyny, dogadzać nie mógł dwór arcykatolickiej królowej polskiej, która na każdym kroku manifestowała te swoje uczucia, 6 czerwca 1744 r. krocząc np. pobożnie, przy boku małżonka i w otoczeniu całego dworu, ze świecą zapaloną w ręku, a przy niebardzo sprzyjającej pogodzie, za procesją Bożego Ciała:

„*Ce zèle*“ — pisał pod tem wrażeniem rezydent pruski do swojego króla — „*et marques de piété furent un effet merveilleux dans l'esprit des Polonais...*“

V

Zajrzyjmy teraz do zamku, około trzeciej popołudniu, w porze, kiedy tam niby zasiada owa „tajna rada“ królewska, której tak obawiali się Polacy. Prezyduje w niej *de facto* królowa, od małżonka rozważniejsza — rozumie ona np. niebezpieczeństwo pruskie i pełną forsą, choć niezawsze skutecznie, mu przeciwdziała, — poważniejsza też od małżonka — ten się bowiem puszcza niejednokrotnie na nieprzystojne Majestatowi zabawy: z błaznami i dworzanami (hr. Königsmarcka obrzuca np. zniłemi jajami).

„Tajna rada“ prowadzi politykę naogół ultrakatolicką wobec swoich (myśl nawrócenia Saksonji) i wobec obcych (porozumienie z Austrją, Burbonami, zwłaszcza hiszpańskimi, front przeciwko Fryderykowi). Czuwają nad nią Jezuici: Guarini, czy Ligeritz; czuwają posłowie cesarscy; łącznikiem zaś pomiędzy królem a Brühlem, pomiędzy ortodoksją a masonerją jest w niej niestety, teściowa ministra, zapobiegliwa hrabina Kollowrat-Krakowska, wielka ochmistrzyni Marji-Józefy, sama przekonana dewotka, plotkarka jednak i mocno przez to szkodliwa.

VI

Już ukoronował wierny Lipski Augusta i Marję Józefę na Wawelu i na zamek warszawski zdąża nareszcie kawalkada królewska, pacyfikację przeprowadzić na najbliższym sejmie walnym. Przyjeżdżają z Drezna królestwo, a w ich orszaku jawią się nowi dygnitarze panowania. Ścicbły okrzyki dopominającej się o wolność szlachty, któremi rozbrzmiewały niedawno krużganki misjonarskie przy św. Krzyżu, gdzie mieściła się wtedy ambasada francuska, a odżył znowu „Pałac Saski“.

Kuzyn królewski, Jan Adolf ks. sasko-weissenfelski, z wojny sukcesyjnej polskiej, w której komenderował w zastępstwie nieorężnego kuzyna, przynosi mu nareszcie renuncjację ponowną Leszczyńskiego; druh księcia, Brühl, niezmiernie czynny w całym okresie zmierzchu „Mocnego“ i brzasku jego następcy, wprowadza się już na zamek z czeredą Wackerbarthów, Saulów, Hennicków i Ludovicich. Jeszcze on wprawdzie nie jest rozstrzygającym atutem w grze gabinetowej sasko-polskiej, gdyż mu zawadza Aleksander Józef Sułkowski, rywal spowinowacony podobno z nowym królem i nieodstępny w młodości jego towarzysz, ale już gorzej od Brühla widziany przez Imć królowę; impulsywniejszy od Niemca, bardziej sarmacki w swoich instynktach, konszachtujący z „patrjotami“, więc już na śmierć skazany, na śmierć cywilną w długoletniem odosobnieniu rydzyńskiem.

VII

Czego zaś chce naród? Ten naród, który instynktownie bał się Niemca, który zdradę pierwszego Sasa przeczuł, jak ten młody Potocki, co, w obozie królewskim, naszedł z towarzyszami namioty wielkiego hetmana koronnego Jabłonowskiego, wołając: „Tyś nam dał Niemca króla, tyś nas Szotom (Szkotom?) zaprzedał!“; jak dalej ci Małopolanie, o których pisał jeden z gości po koronacji „Mocnego“, iż rozumieją się z Sasami, jak wrony z sowami; jak następnie ci chłopi ruscy, co tylu „Niemców“ nabili i natopili, że prędzej — pisze Otwinowski — „w stawach Sasa, niż rybę niewodem wyciągnął“; jak nakoniec ci Warszawiacy, co grozili Niemcom „nieszporami sycylijskiemi“ w stolicy (3 marca 1698) i którzy strzelali do karocy królewskiej na „Krakowskiem“ (marzec 1699).

Nieufność zaś ta przeszła dziedzictwem i na młodego Augusta:

„Dobry wprawdzie jest pan królewicz Imć, ale że dobry, ten nam straszniejszy“ — pisać miał „pewien senator“ fikcyjny przed elekcją, do przyjaciela swego. — „Alež nie wiemy, wiele razy król Imć August chciał *absoluta dominatione* nas *opprimere?* Miał *nervum* (pieniądze) w Saksonji, ten będzie miał większy, bo, co on na metresy i komedje, królewic na wojsko łożyć będzie; sposobniejsza i temu głowa, bo amorami i pijaństwy niezaprzątniona; co *ex innata ad despotismum fundandum inclinatione*: wymyśli, *dexterius* wykona... Poza tem delikatność sumieni *ab oppressione* zahamuje. Będzie teolog-Niemiec, który, jak potężnego Leopolda na Węgrów, tak... Jego na karki nam wsadzi. *Adieu libertas. Vale libertas*“.

Na Imci zaś Augusta III-go, poczciwszego, ale słabszego, niż ojciec, szły wpływy sprzeczne, a silne: od żony, od spowiedników, od Brühla. Naprzemiany, to jednym ulegał król, to drugim. Mamy memorjał Prusaka Grumbkowa do „króla kaprala“ pruskiego (w styczniu 1733), w którym mowa o skardze Brühla na królewicza, że twardo się przeciwstawia niecnym rozbiorowym praktykom ojca i mamy świadectwo Askenazego, że w czerwcu t. r. zawiadamiał królewicz działającego w zastępstwie jego w Warszawie Wackerbartha, że stoi

niewzruszenie przy *„mon grand dessein“*, a taką właśnie konspiracyjną nazwę nosił ojcowski plan rozbiorowy.

To też — wszystko biorąc pod uwagę, — kiedy, w ten wieczór październikowy, lat temu dwieście, rozdzwoniły się dzwony kościołów na Pradze, podczas *Te Deum* Lipskiego, słychać już było wskroś atmosfery elekcyjnej poszum jakby złowrogi skrzydeł trzech orłów czarnych, w sercach zaś szlachty instynktownie wtórowały im bicia: *„Adieu libertas! Vale libertas! Vale libertas!“*

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

PRZYGODY BŁĘDNEGO RYCERZA

1

PO SZEŚCIOLETNIEM błądzeniu, pełnem przygód i przeżyć duchowych, Cyprjan Norwid osiadł (o lotniku powiedzielibyśmy: spadł) w Paryżu. Było to pod koniec r. 1848. W ciągu tych sześciu lat krążył między Niemcami a Włochami: po paroletnim pobycie w Niemczech (1843—1844), widzimy go jako turystę we Florencji i w Neapolu (1845), poczem następuje znowu Berlin (1846); rok 1847 zastaje go w Brukseli, stąd na początku tegoż roku poeta udaje się do Rzymu i tam przebywa do końca 1848.

Z owych czasów doszło do nas zaledwie kilkanaście drobnych utworów Norwida. Nad nauką i twórczością wziął górę czar życia osobistego. Kochał się, spotkawszy na swej drodze kobietę, która miała podać rękę poecie, będącemu o jeden krok do nieba. Wszystkie swoje plany postawił na kartę szczęścia, które mu dać miała ta miłość.

Stosunek towarzyski, w którego ramach dzieje miłości się toczyły, należał do typu stosunków salonowych na miarę, praktykowaną w wielkim świecie. Obudziły one w artyście lwa salonów warszawskich. Kilkoletni tryb życia na tym koturnie związany był z nadmiernemi kosztami duchowemi i materjalnemi. Jak widać z listów i z utworów („Noc tysiączna i druga“) żył na stopę pańską, odbywał kosztowne podróże, tytułowano go w hotelach hrabią, na spacery w Berlinie kazał podawać wierzchowca, konne też robił wycieczki z damami na Wezuwjusz. W upojeniu romantycznem nie był w stanie myśleć, na czem się opiera jego dziś, jakie będzie jutro. Zapewne więcej o tem myśleć musieli jego przyjaciele: Wężyk, Łubieński, Koźmianowie.

W tych okolicznościach łatwo było o przygody, nawet katastrofy, które zadecydują o dalszych losach poety. O tych to przygodach opowiem to, co już wiedzieć można z ogłoszonych dotąd materjałów.

Zacznę od zdarzenia literackiego i to końcowego w tym okresie. Znany jest czytelnikom bardzo ładny utwór Norwida „Polka“ [1]. Trzeba zacząć od przeczytania tego entuzjastycznego rysopisu, bo tą Polką jest właśnie przedmiot miłości Norwida, pani Marja z hr. Nesselrodów Kalergis.

2

Musiało to być nielada wzruszenie, skoro Norwid w tym poemacie nie wykłada idei — jak zwykle czynił — lecz zajmuje się bezpośrednio przedmiotem i swojem uczuciem.

Oryginalność utworu polega na tem, że pomyślany został jako dwugłos. Do turnieju stanęło dwu harfiarzy śpiewaków, aby śpiewali po swojemu o tej samej damie. Nagrodą — wieniec laurowy. Zagadnienie artystyczne bardzo interesujące. Każdy dytyramb ma inny charakter, zależnie od stosunku psychicznego śpiewaka do kobiety. Pierwszy z nich śpiewa z olśnienia jej pięknością zewnętrzną — stosunek czysto estetyczny, malowanie objektywne, *plus* podziw dla cudu. Drugi zaś śpiewa z uwielbienia, bo ją kocha.

Mistrzowstwo Norwida, bardzo charakterystyczne dla jego psychiki, polega na tem, że potrafił na zawołanie przewcielić się w harfiarza współzawodnika, podczas gdy sobie wyznaczył rolę drugiego, który krwawił w sercu. Norwid nigdy nie mógł zapamiętać się uczuciowo po ludzku, zawsze był artystą, nawet wtedy, gdy miłość zdawała się być dla niego katastrofą. Piękny ten wiersz ma swoje niedociągnięcia myślowe. Pierwszy harfiarz usiłuje zawstydzić przyrodę, jakoby próżno konkurowała swemi wdziękami z arcydziełem, jakiem jest owa piękna Polka, a przecież opiewa nie co innego, jeno arcydzieło przyrody, bo właśnie wdzięki urody:

Próżnobyś jej się wyrównać podjęła
Ty najpiękniejsza, lecz po niej — przyrodo!

Nie daje zaś nigdzie dowodu, że upatruje w owej Polce zjawisko nadprzyrodzone.

Drugi harfiarz, w którym Norwid swoje serce umieścił, w przeciwieństwie do pierwszego, nie pamięta żadnego konkretnego rysu ubóstwianej kobiety, tak zawładnęła nim od wewnątrz:

A włos jakiej ma barwy — zapomniałem,
Ale oko? — nie wiem doprawdy, czy modre...
Ale jakie ma zębów perły? — nie pomnę,
Ani ile jest w rumieńcach jej korali.
Słowa są wiarołomne —
Skończyłem — nie wiem dalej...

Piękny ten pomysł poetycki wiele traci w oczach czytelnika, jeśli mu przyjdzie do głowy refleksja, że skoro taki jest istotny stosunek poety do opiewanej kobiety, to skąd się wzięła precyzyjna szczegółowość jej opisu w pierwszym dytyrambie.

Badacze pism Norwida, idąc za Miriamem-Przesmyckim [2]) utrzymują, że poeta przez usta dwu harfiarzy opiewa wdzięki dwu różnych kobiet. Śpiewakiem tym jest sam Norwid; ale pierwszy dytyramb poświęca p. Marji Kalergis, drugi — jej towarzyszce, pannie Marji Trembickiej. Jak wiemy, Norwid, zlekceważony przez p. Kalergis, wnet afekty swoje (właściwie propozycję małżeństwa) zwrócił do p. Trembickiej. Przesmycki stąd wnosi, że ta druga miłość była głębsza, co tłumaczyłoby różnicę w traktowaniu dwu kobiet w owym turnieju.

Dosyć rzucić okiem na poemat, aby przypuszczenia tego nie uznać za trafne. Pieśń na cześć p. Trembickiej miałaby więc zaczynać się od słów:

---

[1]) C. N. Pisma zebrane (wydanie Miriama) t. A, str. 366.

[2]) Z. Przesmycki. „Pisma zebrane“ Norwida, t. A, s. 935.

„Gdzie wnijdzie i gdzie postawi stopę swoją,
Nie oglądają się ludzie zdziwieni,
Lecz, jak stali wpierw, tak stoją.
Potem, niby ocknieni,
Czują więcej światła wokoło siebie,
I rozpowija im się powoli w oczach,
Jako jutrznia na niebie,
Odbłysk na jej warkoczach“ [3]).

Jednem słowem ludzie na jej widok stawali jak wryci... Miriam zdaje się nie wiedzieć, że p. Trembicka była zaprzeczeniem tego, co nazywamy urodą. Pewno dlatego dodano ją pani Kalergis na towarzyszkę, aby uroda tamtej uwydatniała się tem wspanialej. Norwid nie mógłby popełnić tego nietaktu, zrobić kobiecie takiej krzywdy, byłoby to urąganie. Zresztą sam tekst poematu nie pozwala na takie przypuszczenia.

Miriam, powołując się na źródłowe badania, narzucił też pogląd co do daty utworu. Ponieważ gdzieś w korespondencji była mowa, że Norwid, wracając z Ameryki w r. 1854, skomponował na pokładzie statku poemat, złożony z pięciu części, a „Polka“ ma właśnie pięć podziałów, więc ów zaginiony poemat — to napewno „Polka“. Autorytet Miriamowej interpretacji był tak wielki, że to się przyjęło. Prof. Łoś na tej podstawie dopatruje się nawet w muzyce pieśni drugiego harfiarza naśladownictwa ruchu fal morskich [4]).

Byłaby to zaiste nielada zagadka psychologiczna, gdyby artysta, w sześć lat po zlekceważeniu go przez jedną kobietę i w kilka lat po odrzuceniu go przez drugą, ni stąd ni zowąd na oceanie, wśród potężnych wzruszeń podróży, siadał na pokładzie do pisania namiętnych erotyków na tle dawnych przeżyć! Oczywista niemożliwość.

Wiersz „Polkę“ trzeba przenieść z oceanu do Paryża i z r. 1854 na początek r. 1849. Norwid właśnie był wylądował w Paryżu, po długich za p. Kalergis pogoniach między Niemcami a Włochami. W „*Revue des deux Mondes*“ [5]) ukazał się wtedy długi, wspaniały wiersz Teofila Gautier na cześć p. Marji Kalergis p. t. „*Symphonie en blanc majeur*“. Teofil Gautier był biednym, jak Norwid, literatem i pewno nie spotykał się z nią, jak Musset, w salonach. Olśniony był przepychem jej piękności północnej; ni to marmur biały, ni to śnieg. Wkrótce Heine, który ją raz widział, przedrzeźniając Gautiera, napisał poemat „*Der weisse Elephant*“, gdzie porównał tę piękność z blaskiem śniegu na szczycie Himalajów.

Oto niektóre strofy tej symfonji Gautier'a:

„*Son sein, neige moulée en globe,*
Contre les camélias blancs
Et le blanc satin de sa robe
Soutient des combats insolents.
Dans ces grandes batailles blanches,
Satins et fleurs ont le dessous,
Et, sans demander leurs revanches,
Jaunissent comme des jaloux.
De quel mica de neige vierge,
De quelle moelle de roseau,
De quelle hostie et de quel cierge
A-t-on fait le blanc de sa peau?
A-t-on pris la goutte lactée
Tachant l'azur du ciel d'hiver,
Le lis à la pulpe argentée,
La blanche écume de la mer;
La marbre blanc, chair froide et pâle,
Ou vivent les divinités i t. d.“

[3]) Norwid. Pism zebranych t. A. s. 366. „Polka“.

[4]) „Wiersze polskie“. Ob. u. S. Cywińskiego „Wybór pism“ Norwida, s. 111.

[5]) Z 15 stycznia 1849 r.

Kończy się poemat porównaniem do Sfinksa:

„*Sous la glace où — calme — il repose,*
Oh! qui pourra fondre ce coeur!
Oh! qui pourra mettre un ton rose,
Dans cette implacable blancheur!“

Ta strofka mogła Norwida głęboko poruszyć. Stosunek Norwida do p. Kalergis miał w sobie coś więcej, niż literaturę. Jakież ma prawo daleki Gautier popisywać się entuzjazmem dla kobiety tak mu bliskiej? Za długo żył złudzeniem, nad miarę ambitnem, że zdobędzie wzajemność światowej damy. On dla niej łamał skrzydła i więcej miał praw do pisania hymnów na jej cześć, niż jakiś obcy literat, a nie przyszło mu to nigdy do głowy. Wiersz Gautiera podrażnił jego ambicję artystyczną, nietylko rozgoryczył. Cały Paryż mówił o p. Kalergis i o p. Gautier, a gdzież on nieszczęsny?

To co wówczas napisał, podniecony symfonją poety francuskiego, było już tylko potrzebą jego duszy artystycznej. Mógłby, gdyby chciał, napisać tak, jak on — i spróbował. Istotnie wpadł w ton Gautiera jako harfiarz pierwszy. Nie szukał lauru w opiewaniu jej wdzięków, bo rola jego była inna: jego celem było wdzięków tych posiadanie. Miał po temu pewne prawa — i w tem jego wyższość nad poetą obcym. Tak się pocieszał, a to, co napisał, jako harfiarz drugi, — było, w westchnieniu swojem, czemś głębszem, niż okrzyk podziwu.

Związek z Gautierem jest widoczny. Czy można przypuścić, że taki pojedynek odbył się w pięć lat potem, gdzieś na oceanie? Wtedy niewątpliwie Norwid zaznajomił się z twórczością Gautiera. Widać to między innemi na zakończeniu dodanem wtedy do poemaciku „Biały marmur“.

3

Cyprjan Norwid miał coś wspólnego z Don Kichotem. Gdy mu to na emigracji wytykano, chlubił się tem podobieństwem, przyznając, że epos życia ich obu, „kawalerów błędnych“ jest jednaki. W utworze z r. 1848 „Epos — nasza“ z czułością zwraca się do rycerza z La Manchy:

„Więc stajesz mi znów przed oczyma, jak ongi (w dzieciństwie) rdzawą osłonięty zbroją, i smutek budzisz, co się wężem zżyma, bo i ja miałem Dulcyneę moją... Śmiechu niema w tem, oj niema, dla widzów chyba i czytelników. Lecz dla nas, co obiema rękami walczymy, oswobodzając księżniczkę zaklętą, — ból, spieka, gorycz i marsz drogą krętą... Potomni niech się uśmieją, że my tacy mali, a oni szczęśni tacy i ogromni, ale że tak z nikąd nie zdradzani po paradyzie latają w promieniach — w purpurze, wieńcach“.

Don Kichot tem się różnił, że nieznane mu było uczucie zawiści. Norwid cierpiał podwójnie: że padł ofiarą i że kto inny zbiera wieńce. To pewna, że w owym 1848 r. Norwid czuł się spokrewiony z Don Kichotem przez Dulcyneę.

A Dulcynea moja, o przechrobry
Rycerzu, wiedz, że w swojej ona
Osobie nigdy mi nie odsłoniona... [6]).

Kiedy Norwid pisał „Polkę“ na cześć swojej Dulcynei, było już po katastrofie. Klęską było dla niego wylądowanie w Paryżu bez możności po-

[6]) „Epos — nasza“. Pisma zebrane t. A, s. 300.

wrotu do kraju i do młodzieńczych marzeń o podboju świata.

Przeszła mu drogę kobieta. Ona go ściągnęła z obłoków. Jak się to stało? Trzeba tu opowiedzieć pokrótce historję tego stosunku z panią Kalergis, postacią bardzo charakterystyczną dla okresu romantycznego.

4

Była warszawianką z urodzenia (1823). Ojciec jej Fryderyk hr. Nesselrode był adjutantem przy księciu Konstantym, a potem za powstania i w latach nas interesujących—szefem żandarmerji w Warszawie. Ożeniony był z Teklą Nałęcz - Gorską, osobą w tem małżeństwie bardzo nieszczęśliwą. Nie umiała się oprzeć, gdy jej córeczkę pięcioletnią zabrano do Petersburga, aby ją odsunąć z pod wpływów matki, gorliwej katoliczki. Zabrał dziecko na wychowanie stryj, Karol hr. Nesselrode, minister spraw zagranicznych przy Aleksandrze I i Mikołaju I, od r. 1844 kanclerz państwa rosyjskiego. Stało się to z wolą ojca. Wychowana przy dworze w duchu kosmopolitycznym a w bezwzględnej lojalności dla dynastji, oddana została na małżonkę bogatemu Janowi Kalergis, naturalizowanemu w Rosji Grekowi. Miała wtedy lat 17 i była cudnej urody. Mąż był pokraczny, żółty jak cytryna, odrażająco niemiły i zazdrosny jak Otello. Po roku p. Marja miała już dość małżeństwa. W domu stryjostwa, już separowana, powiła dziecko (styczeń 1840 [7]). Na mocy układu z mężem otrzymała jako odszkodowanie pałac na Newskim Prospekcie i kapitał, zapewniający jej 250.000 franków rocznej renty.

Sytuacja towarzyska pani Kalergis była trochę zachwiana w stolicy, postanowiono ją też wysłać do Warszawy. Nieszczęśliwa matka przebywała wtedy w Paryżu. Pani Kalergis w listopadzie 1840 mieszkała już u ojca w Warszawie, w pałacu Potockich na Krakowskiem Przedmieściu [8]).

Czy jest możliwe, aby Norwid o niej nie wiedział, aby się z nią nie spotkał przed swoim wyjazdem z Warszawy w którymkolwiek z salonów? [9]) Za co się uważała w Petersburgu, na to jej samej trudno byłoby odpowiedzieć. To wiemy, że w Warszawie uważała się za Polkę. Jeżeli kiedy, to właśnie te lata między r. 1840 i 1844 (kiedy po raz pierwszy wyjechała zagranicę) wytworzyły z niej Polkę. Zapewne jej ojciec nie bywał w salonach polskich, ale ona miała swoje nazwisko i swoją odrębną towarzyską pozycję. Jak zobaczymy, garnęła się do polskiego towarzystwa i umiała być nawet polską patrjotką. Była to kobieta niepospolitego umysłu, nie pozbawiona szlachetnych popędów serca. Stylizowana na sposób romantyczny, tchnęła ideami humanitarnemi. Królowała bezustannie i z całą świadomością swego czaru. Kobiety, pomimo że je zaćmiewała — miały dla niej respekt. Olśniewała nie tylko wdziękami i strojem, ale też czarem talentów towarzyskich, dystynkcją, wesołością, dowcipem, muzykalnością, oczytaniem, znajomością wielkiego świata. Pasją jej w stylu romantycznym było zniewalanie ku sobie płci męskiej. Oddychać mogła tylko w atmosferze hołdów, nielitościwie igrała sercami, depcząc niewolników, kornie ścielących się do jej stóp.

Pani Marja Kalergis miała wielu starających się o jej rękę, ważyła się już zrazu sprawa ks. Demidowa. Ale po pewnej walce z sobą jako matka zdecydowała, że rozwodu nie weźmie ze względu na swój katolicyzm. Chciała być wolną. Z temperamentu chłodna, jak marmur, ceniła swą niezależność duchową i swoje wyjątkowe stanowisko królowania. Po co więzy? Do tego dołączała się żądza dowolnej zmiany miejsca. Rwała się zagranicę. Ojciec, dobrze świadomy niebezpieczeństwa, na jakie córka narazić mogła stanowisko polityczne w świecie ojca i stryja, gdyby wdawała się w stosunki towarzyskie z polską emigracją, z niepokojem myślał o jej wojażu. Wszakże nikt sprzeciwić się nie mógł woli tej kobiety, nawet surowy ojciec. Była zresztą pełnoletnia.

Pani Marja Kalergis w dn. 1 czerwca 1844 r. wyjechała z Warszawy zagranicę, kierując się na początek, szlakiem Nesselrodów, do Niemiec. Tam się spotka z Norwidem.

(Dok. nast.) ZYGMUNT WASILEWSKI

[7]) Była to córka Marja, późniejsza hr. Coudenhove.

[8]) Informacje o pani Kalergis czerpię przeważnie z książki greka Konstantego Photiadès p. t. „*Marie Kalergis, née comtesse Nesselrode* (*1822 — 1874*). Paris 1924.

[9]) Mam wrażenie, że widziałem Norwida z Wład. Wężykiem na krótko przed wyjazdem zagranicę, na jednej ze słynnych redut warszawskich w Salach Redutowych. Była tam i p. Kalergis. Wrażenie to odniosłem po przeczytaniu jednego z najlepszych utworów Norwida „Za kulisami“, napisanego pewno w czasie tęsknoty za Warszawą. Wyspiański musiał dobrze wczytać się w ten utwór („Wyzwolenie“).

BAJKA

A była taka Kaczka Złotonóżka,
a była taka Kaczka Złotodziubka,
mieszkała w pałacach, jadała na złotych tacach,
sypiała na złotych łóżkach.

Miała ta Kaczka nieprzyjaciela,
bardzo srogiego Czarodzieja:
on mieszkał pośrodku boru na miejscu najsuchszem,
na czarnym ostrowie, pod czerwonym dębem, w żelaznym [kufrze.

I ta Złotonóżka Kaczka
miała przyjaciela, Zwinnego Robaczka.
Jak ten Zwinny Robaczek jął dziury w żelaznym kufrze wiercić,
narobił przeciągów w głębi,
Czarodzieja srogiego na śmierć przeziębił.

Już Czarodziej konający leży,
już goniec od niego bieży
do wielmożnej, sprawiedliwej Śmierci.

Miesiąc wisi na niebie sierpem,
Goniec stoi nad morzem sinem:
„Śmierci, Śmierci, pośpieszaj przypłynąć,
stań u nas na wysokim ostrowie,
Czarodzieja od życia wyswobódź,
bo bardzo cierpi!“

I była taka Złotonóżka, Złotodziubka Kaczka,
miała Czarodzieja nieprzyjaciela
i miała przyjaciela Robaczka.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Książka o „Charakterze narodowym". — Obowiązujący poziom europejski. — Nasze poglądy na własną psychikę. — Angielskie ideały wychowawcze. — Patrjotyzm i opór państwu. — „Naukowość" Finot'ów i Zimmernów.

Z PEWNĄ zazdrością czytałem ostatnio obszerne, zgórą 450 stronic druku liczące studjum prof. Ernesta Barkera p. t. „Charakter narodowy" [1]). Zazdrością nie z tego powodu, iżby autor wymienionej pracy potrafił wedrzeć się na jakieś najwyższe szczyty myśli twórczej, dla nikogo u nas nie dostępne: pisarze polscy, omawiając podobne zagadnienia, niejednokrotnie ogarniali wzrokiem rozleglejsze o wiele horyzonty, docierali o wiele przenikliwiej do sedna sprawy. Rzecz jest w tem, iż dzieło uczonego angielskiego ukazuje niejako normalny, obowiązujący poziom, na którym rozważania z tego zakresu muszą być w krajach zachodnioeuropejskich utrzymane. Prof. Barker zadaje sobie pytanie: czem w istocie swej jest naród angielski, jako jedność duchowa, trwająca poprzez stulecia, jak zrodziła się i na czem polega narodowa indywidualność Anglika? Rozpatruje czynniki materjalne i duchowe, które tę odrębność angielską ukształtowały (podłoże rasowe, wpływ geologicznych właściwości terytorjum, geograficznego położenia kraju i jego klimatu, gęstości zaludnienia i rozdzielenia go pomiędzy poszczególne zawody, oddziaływanie ustroju politycznego i prawnego, wierzeń religijnych, twórczości naukowej i artystycznej i t. d.). Zastanawia się, w jakim stopniu i w jaki sposób ten swoisty organizm duchowy, którym jest naród, w dalszym ciągu samowiednie już urabiać może treść własnej psychiki (wychowanie narodowe). Jakże zdziwiłby się autor i jego słuchacze (książka, o której mowa, powstała z serji wykładów, wygłoszonych w latach 1925 — 1926 na uniwersytecie w Glasgowie), gdyby zaproponowano im pogląd, że narodu wogóle nie należy brać w rachubę, ponieważ jest państwo, i że koncept ten winno się traktować z całą powagą, nazywając go „ideologją"! Z jakiemż zdumieniem bezbrzeżnem przecieraliby oczy, gdyby im dane było przestudjować o tych zagadnieniach wywody „Zrębu" lub zapoznano ich z poziomem myśli syntetycznej pp. Kawałkowskich!

Z drugiego jeszcze względu dzieło prof. Barkera wywołać może w czytelniku polskim wspomniane tu na wstępie uczucie zazdrości. Widoczne jest mianowicie odrazu, o ile bardziej ustalone, jednolite pojęcia ma o swoim charakterze narodowym współczesny Anglik, niż Polak. Ludy zachodnioeuropejskie posiadają co do swych wad i zalet, co do rysów znamiennych swojej psychiki poglądy powszechnie przyjęte i uzgodnione, przytem — w ogólnych zarysach — niewątpliwie dość zbliżone do rzeczywistości, ustawicznem potwierdzane doświadczeniem. To sprecyzowanie opinji w tej dziedzinie wpływa z kolei w określony, dodatni sposób na ich działalność wychowawczą, polityczną i wogóle na całokształt ich życia zbiorowego. Jak dalece odmiennie jest u nas, gdzie o polskim charakterze narodowym wypowiadane są oceny najsprzeczniejsze, gdzie na ten temat wciąż są w obiegu najpłytsze, najmniej uzasadnione komunały! Zwłaszcza o politycznej psychologji naszego społeczeństwa do dziś powtarzane są zdania, wymyślone w okresie niewoli, a więc w dobie, kiedy w tym zakresie właśnie cechy naszego charakteru narodowego nie mogły być poddane obserwacji bezpośredniej, bo nie dano im ujawniać się w działaniu. Czyż nie narzeka się naprzykład na „rogatą duszę" Polaków-indywidualistów, których nie sposób ująć w karby posłuszeństwa — nas, płatników Pożyczki Narodowej!...

Książka prof. Barkera — jak się już zaznaczyło wyżej — nie jest pionierska. Formułuje raczej, w postaci usystematyzowanej i ściślejszej, wyniki, do jakich doszła współczesna myśl angielska w badaniu wymienionych zagadnień, niezawsze przytem wyzwalając się z pewnej powierzchowności sądów, narzucanej przez suggestje wolnomularskie i protestanckie. Niemniej zawiera ona mnóstwo faktów, pouczających o Anglji i jej dziejach, oraz szereg spostrzeżeń ogólniejszych, często trafnych i zasługujących na uwagę. Przykładowo jedynie przytoczę słów kilka, któremi autor odmalowuje ideał wychowawczy, jaki pod wpływem słynnej szkoły w Rugby, kierowanej przez Tomasza Arnolda († 1842), z jej naciskiem na samorząd uczniowski i gry zbiorowe, zapanował w pedagogice angielskiej ubiegłego stulecia:

„Prowadzić grę uczciwie i według reguł; prowadzić ją w interesie swej grupy, nie swoim osobistym; walczyć do końca twardo, nie zwalniać wysiłku, póki tchu starczy; unikać uczuciowości; nienawidzieć przesady; uważać za najwyższą pochwałę: „Nieźle!",—a za najgorszą naganę: „Biedak!"— oto niektóre reguły tego niepisanego prawa".

Oto zaś, jakże charakterystyczny pogląd pisarza angielskiego, iż należąc do związku duchowego, jakim jest naród, „jesteśmy obywatelami idealnego królestwa, i na zasadzie tego obywatelstwa obowiązani jesteśmy czasem opierać się państwu" własnemu, gdy stawia żądania, z prawem moralnem tego „królestwa idealnego" niezgodne:

„...państwo narodowe, nawet wtedy, gdy jest niedoskonałe, pozostaje istotnem i konkretnem królestwem ducha; i nawet w oporze, jaki stawiamy, pamiętać musimy, że cele, na których nam zależy, pozostaną w świecie abstrakcji i urojeń, o ile protestem naszym, i w potrzebie nawet naszem męczeństwem nie zapewnimy im wcielenia w tem królestwie aktualnem i konkretnem. W tem znaczeniu opór w najwyższej swej potędze jest daniną i ofiarą, złożoną dla tegoż państwa, któremu się opieramy; można go nawet nazwać najpiękniejszym kwiatem patrjotyzmu".

I jeszcze pod jednym względem dzieło Ernesta Barkera nasuwa refleksję natury ogólniejszej. Trochę zabawne wywołuje wrażenie, gdy uczony profesor całkiem na serjo krytykuje, jako zbyt skrajny, „francuski" pogląd p. Jean Finot'a, który w swoich *„Les Préjugés de Race"* odrzuca bezapelacyjnie wpływ czynnika rasowego na kształtowanie się psychiki jednostek i społeczeństw, „przecenia" natomiast rolę geografji i t. d. Wszak p. Finkelstein, warszawianin, który—całkiem dorosły już człowiek—zmuszony był, z powodu skandalu, opuścić Polskę, by pod zmienionem nazwiskiem Finot'a szukać karjery jako luminarz dziennikarstwa francuskiego, nietylko z teoretycznych wyłącznie racyj zainteresowany był w ustaleniu się opinji, iż nie w rasie człowieka poszukiwać należy wytłumaczenia tych czy innych właściwości jego umysłu i charakteru. Podobnież kto widział osobę p. A. E. Zimmern'a, szwendającego się po różnych organizacjach „mię-

[1]) Ernest Barker: „Charakter narodowy", Warszawa, 1933, przekład Ireny Pannenkowej. (Tłumaczka uzupełniła dzieło krótkim wstępem i starannie opracowanemi przypisami).

dzynarodowej współpracy“ w Genewie, z mniejszą powagą oceniać będzie „naukowe“ jego wywody (w książce „*Nationality and Government*“), że naród — „to zjawisko socjalne: to typ odzieży, system obyczajów, sposób życia, ojczysty język i kultura“, natomiast państwo, „jako zjawisko polityczne i prawne“, żadnych właściwie cech narodowych posiadać nie potrzebuje i nie powinno. Przecież poglądy te zrodziły się z równie bezinteresownego dążenia do prawdy, żadnym ubocznym tendencjom nie służącego, jak rozważania naprzykład pp. Hirschhorna czy Thona, na tenże sam temat raz po razie w warszawskim „Naszym Przeglądzie“ publikowane...

Nie ulega wątpliwości, że żydzi, ze swoją niezdolnością szukania prawdy dla niej samej, badania jej bez postronnych rachub i celów, zwłaszcza w zakresie nauk humanistycznych, w niemałej mierze przyczyniają się do obniżenia życia umysłowego narodów europejskich, tem groźniej, im wydatniejszą poczynają odgrywać w niem rolę. Powaga, z jaką uczony angielski wypowiada się przeciw opinjom pp. Zimmern'ów i Finot'ów, traktowanie ich pomysłów z rewerencją, jakby czcigodnych potknięć się pielgrzymów na stromej ścieżce ku Prawdzie, jest pod tym względem znamieniem epoki, nad którem warto się zastanowić.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

BARDZO IRYTUJĄCE są wszelkie ideologje, których podstawowem (aczkolwiek nieświadomem) założeniem — jest zupełne pominięcie narodu, uważanie go za coś, co się nie liczy. Różni zagorzali nawet zwolennicy tradycjonalizmu często w praktyce grzeszą zdumiewającą niewrażliwością — na tradycję. Budowę narodu zaczynać chcą od początku, nawet tam, gdzie naród gotowy jest już od wieków. Złudzeniu temu ulegają czasem nawet niektórzy nieuważni nacjonaliści. „Naturalnie, w teorji jesteśmy za tradycją, ale przecież trzeba od czegoś zacząć“. Zbyt często, o wiele zbyt często zostajemy pod wrażeniem, że trzeba dopiero zaczynać. Mało stosunkowo instytucyj i obyczajów w życiu publicznem przekazała nam przeszłość do kontynuowania; ale zły przesąd wymaga, żeby ignorować nawet to, co ta nieuboga przeszłość w spadku nam zostawiła. Iluż to czytelników gazet większą okazuje czułość na t. zw. „nowoczesne prądy międzynarodowe“ (mimo zupełnej często nieznajomości narodów europejskich i głębszego nurtu ich życia) — niż na głos przeszłości narodu, głos dawnej Polski. Nie mówimy o bezmyślnych wychowankach jednostronnej szkoły historycznej, którzy (w artykułach „Gazety Polskiej“ np.) walkę z polityczną „tradycją polską“ poczytują za swój elementarny obowiązek. Walczy się wtedy z całą przeszłością narodu i jego polityczną kulturą, najczęściej zupełnie świadomie. Chodzi o ściągnięcie społeczeństwa na poziom prymitywniejszych pojęć o „dobrem rządzeniu”, prymitywniejszych, ale bardziej dostępnych dla „elity“. Nas tu jednak interesuje co innego: mianowicie poglądy nieświadomie ignorujące naród, dążenia, niby to pragnące go poprawiać, ale mimowoli wychodzące z założenia, że narodu wogóle niema. Taką próbą było np. usiłowanie sformułowania nakazów „cnoty obywatelskiej“, posła Mackiewicza. Próba taka, w razie powodzenia, mogłaby mieć oczywiście tylko estetyczną wartość. Ktoś znowu pięknie i świeżo powiedziałby to, co już tysiąc i więcej razy było dobrze powiedziane. Nową treść moralną bowiem w pojęcie „cnoty obywatelskiej“ wlać dość trudno: zbyt wyraźnie przeszłość pojęcie to określiła. Pozostaje zawsze, ma się rozumieć, możliwość sformułowań nowych. Więc np. formuła Kochanowskiego: „Służmy poczciwej sławie, a jako kto może, niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże“ — aczkolwiek nie do pogardzenia, zapewne nie jest jedyna. U tegoż samego poety znajdziemy znacznie więcej równie pamiętnych. Ale—i to typowe—p. Mackiewicz próbę skatalogowania przykazań cnoty obywatelskiej podjął nie dla rywalizacji artystycznej z poprzednikami i po przeczytaniu jego artykułu w niczyjej pamięci nie mogły zatrzeć się sformułowania dawniejszych, dobrych autorów. Gdy naród ma w tym zakresie tak bogatą tradycję, niema sensu uczyć tego samego, z tą zmianą, że brzydkiemi słowami. Niema sensu także rozszczepiać na osiem nakazów pojęcia, które suggestywniejsze jest nierozszczepione. Poco ten niedołężny i komiczny katalog obowiązków, kiedy pojęcie zostało naprawdę żywe i wielekroć naprawdę dobrze wyrażone? Instynktownie publicysta postępuje, jakby tego wszystkiego nie było... Postępuje się, jakby cywilizacja narodowa nie istniała — gdy ona jest i trwa nieuszkodzona. Katalog cnót obywatelskich trudno podawać dziś do wiadomości czytelników, jak ostatnie telegramy PAT-a z Genewy czy Londynu.. W wersji p. Mackiewicza katalog ten i w tem był do nowinek PAT a podobny, że częściowo bez sensu. Tradycjonalista ze „Słowa” powtórzył mianowicie różne banały, oryginalne i nowe brzmienie nadał jednak punktowi szóstemu: „Życie w zgodzie z sumieniem, ale nieporzucanie religji, którą się wyznaje“... Mniejsza o to, że chodzi o „nieporzucanie dlatego, aby się oswobodzić z ciężarów, które (religja) nakłada“. Zdumiewająca jest przeciwstawność, którą publicysta sanacyjny uważa za naturalną — „Życie w zgodzie z sumieniem, ale nieporzucanie religji...”! Więc do cnoty obywatelskiej należy, że religja wskazuje co innego, a sumienie co innego, że religja nie jest rzeczą sumienia, ale formy zewnętrznej? Jakże łatwo degeneruje się tradycja, kiedy „od początku” zaczynają ją tworzyć państwowcy nowocześni. Niepożytecznie jest ignorować naród...

SANACYJNY KOLPORTAŻ mnóstwa haseł tandetnych i wogóle nacisk na propagandę haseł powoduje, że tak często zauważyć nie umiemy przekazanych nam przez historję tradycyj cywilizacyjnych. W prasie, zajętej szerzeniem tandety ideowej, weszło, jak wiadomo, w modę szkalowanie Niemiec od czasu nastania tam *régime*'u hitlerowskiego. Charakterystyczne, że ta niekorzystna ocena nie była wcale wynikiem szczególnie wysokiego (u szkalujących) mniemanie o cywilizacji ojczystej. Przeciwnie, instynktownie przyjmowano, że reguły cywilizacji zachodniej, dla nas nieodpowiednie, Niemców jedna powinny obowiązywać. Poziom europejski nie dla nas, ale Niemcy — to co innego. Z tej racji potępiano w Niemczech napaści bojówek partyjnych, uzależnienie nauki od rządu, zawisłość polityczną sądownictwa. Wyglądało to tak, jakby nikomu na myśl w tym światku nie przychodziło, że istotnie w pew-

nych dziedzinach i okazjach mogliśmy cywilizacyjnie górować nad Niemcami. Jedną okazję taką warto przypomnieć sobie właśnie, gdy się obchodzi rocznicę zwycięstwa Sobieskiego. Pasek w pamiętnikach tak porównywa zachowanie się rycerstwa polskiego i niemieckiego pod Parkanami: „Niemcy zaś żywcem nic nie brali, ale zabijali *crudelissime*. Nawet i po śmierci z nimi cuda robili: włóczyli, pasy z nich darli, rzemień na potrzeby z tych pasów wykręcali; jak trzeciego dnia po bitwie, to już z trudnością było obaczyć Turczyna na pobojowisku z całemi plecami; nawet kiedy który z naszych nieostrożnie prowadził więźnia, a wjechał między Niemców, to mu go w rękach zabili. Synowiec mój, Stanisław Pasek, prowadził Turczyna znacznego jakiegoś, bo strojno i na pięknym koniu siedział; już go dyzarmował, tylko tak konia pod nim za cugle prowadzi, aż przyjechał Niemiec i, zrównawszy się z Turczynem, pchnął go szpadą. Turczyn tylko stęknął; synowiec się obejrzał, a on już tylko ziewa, a z konia leci. A Niemiec kolnąwszy, zaraz na stronę. Pocznie mu łajać: „A szołdra, taki synu, zabiłeś mi niewolnika, a godzi się to?“ Niemiec się tylko śmieje, a mówi: „Ja, Pan Brat, Pan Polak djabła tego żywić?“ On mu łaje, „żeś ty szelma, nie kawaler, już w rękach więźnia zabijać“. A Niemiec się tylko umyka, a śmieje. Cóż czynić dalej? Bo Niemcy wielkie do Turków mają zajątrzenie *ex ratione*, że im tak wiela poodbierali państwa, prowincyj i fortec; a druga, że oni są *a natura crudeles* i nie umieją *in victoria* kawalerskiej obserwować kontynencjej, a do tego, że ich we wszystkich okazjach bijali Turcy i cale z nimi nigdzie szczęścia nie mieli, gdziekolwiek się porwali, to jak na nich wsiedli z szablami, to jako bydło rżnęli“. Taki obraz rycerstwa niemieckiego pod Parkanami daje relacja współczesna. Przyjemnie jest, odrzucając propagandowe kłamstwa, przypomnieć sobie jednak, przy sposobności, jak przed 250 laty, cywilizacja polska manifestowała swą wyższość — przez pospolitaków Sobieskiego.

O UROCZYSTOŚCIACH KU CZCI SOBIESKIEGO piszą nam z Krakowa: Pomimo wyjątkowo słonecznego i pięknego dnia, pomimo wspaniałej rewji licznych pułków ułańskich, pomimo najwyższych dostojników państwa, pomimo zupełnego braku żydów, którzy nie mogli profanować święta kuczek, pomimo wspomnień i refleksyj, które powinny były rozgrzać uczucia — uroczystość obchodu 250-ej rocznicy odsieczy wiedeńskiej odbyła się dnia 6 b. m. w nastroju oficjalnej poprawności. Przemarszowi 12 pułków kawalerji nie towarzyszyły okrzyki ani oklaski. Tłumy, zalegające błonia krakowskie, ożywiało uczucie pewnego onieśmielenia i zalęknienia, pomieszanego z ciekawością, zawisał nad niemi nastrój sal urzędu skarbowego albo komendy uzupełnień.

Od roku 1910-go, w którym czciliśmy w tym samym Krakowie 500-lecie Grunwaldu w innym zupełnie nastroju, temperatura uczuć spadła do zera. Ówczesnym naszym pragnieniom wystawiliśmy pomnik ze spiżu i granitu, dzisiejszą ciekawość zaspokoiliśmy widokiem półgodzinnej defilady wojsk. Święto 1910 roku skrzepiło nas na długie lata wojny, było bodajże naszą duchową konstytuantą — święto 1933 roku nazywało się oficjalnie „świętem kawalerji“ i wzięło tylko asumpt z potrzeby wiedeńskiej. Pomnożyło kalendarz „świąt“ morza, matek i galówek.

Nie od rzeczy będzie zanotować, że wedle opinji znawców koszt tej uroczystości (kilkudniowe przetrzymania ponad termin ułanów starszego rocznika w szeregach, należności kwaterunkowe wojska, rozłożonego w oczekiwaniu na rewję w okolicach Krakowa, dodatki ćwiczebne) wyniósł prawdopodobnie około ćwierci miljona złotych, nie licząc znacznego kosztu trybun i urządzenia błoń do rewji. Ile kosztował pomnik Grunwaldzki?

OB - ŻYDZANIE MICKIEWICZA

NAJSPOKOJNIEJSZY i najmniej do podejrzeń skłonny, człowiek gotów wreszcie dojść do przekonania, że w modnem dzisiaj w pewnych sferach bezczeszczeniu Mickiewicza jest przecież jedna wspólna metoda i jakaś wspólna inspiracja. Do kaduka, czemuż się tak zawzięli i czemu tak prą ławą *per fas et nefas?* Do tych zaprzysięgłych — „rewizjonistów“ przybywa nowy zaciężny. Nie dość było Boya i Brandstättera. Nowy przybysz wart zresztą dawnych.

Niejaki Al. Rosenberg napisał świeżo i aż własnym nakładem pośpieszył wydać broszurę pod aroganckim tytułem: „Młody Mickiewicz — poeta czy wierszokleta? Nieznana redakcja „Pani Twardowskiej“. Mniejsza o to, że „odkrycie“ jest niepotrzebne. Rzekomo „nieznana“ redakcja jest owszem znana, równie oddawna, jak dokładnie. Pisano o niej w „Sfinksie“ 1911 r., w „Czynie“ 1922 r., w „Ruchu Liter.“ aż dwukrotnie, w r. 1929 i 1930. Ostatni rewelator nieuk nie ma o tem pojęcia i wybija drzwi otwarte.

Sprawa jest taka, że w piśmie krakowskiem „Muza Nadwiślańska“ wydrukowano na schyłku 1822 r. (w parę miesięcy po wyjściu „Ballad i Romansów“) balladę Mickiewicza „Pani Twardowska“. Była to zwyczajna kradzież literacka. Plagjator zmienił tytuł utworu, sfabrykował fałszywy podpis: P... Kor..., a przedewszystkiem zniekształcił tekst, psując gruntownie język i rytmikę utworu. Otóż p. Rosenberg całkowicie bezpodstawnie i nie kusząc się nawet o cień dowodu, wystąpił z absurdalnem twierdzeniem, że balladę tą przesłał do Krakowa sam Mickiewicz i że ogłoszona ona tam została w pierwotnej redakcji. W ten sposób wszystkie niezdarności plagjatora kładzie na karb Mickiewicza. To też na pytanie tytułowe: „Młody Mickiewicz — poeta czy wierszokleta?“ odpowiada oczywiście: wierszokleta.

Nikt nie będzie z tem głupstwem polemizował i nie o to tutaj chodzi. Chodzi o pokazanie, że jest w tem szaleństwie metoda. Poco było autorowi potrzebne to umysłowe prostactwo? Posłuchajcie:

„Przez w. XIX rosło uwielbienie do (!) Mickiewicza. Jego poezja i życie stało się wzorem... Wizerunek poety stał się przez to pięknie gładki, ale nieplastyczny, bo do plastyki potrzebne są cienie. W ostatnich latach nastąpił pewien wyłom w poglądzie na Mickiewicza jako człowieka, ale Mickiewicz — poeta jest nadal *sacrosanctus*. Błędy poetyckie Mickiewicza tłumaczy się jako zalety“. I wreszcie konkluzja: „Maskowanie wizerunku poetyckiego Mickiewicza spotkać się powinno z najżywszem potępieniem“.

Teraz już rozumiemy. Jest to nowy sprzymierzeniec Boya. Żeby więc do tego „najżywszego potępienia“ dorzucić kamyk, autor fałszuje podstawę oskarżenia, zapisuje niezdarności plagjatora na rachunek Mickiewicza i konkluduje, a konkluzję drukuje tłustemi czcionkami, że młodzieńcza poezja jego „nie jest poezja wielka, lecz raczej wierszoklecka“.

Niewiadomo, czemu się tu więcej dziwić: nieuctwu czy szachrajstwu. I trudno się nie zdumieć: więc im aż tak bardzo zależy na tem, żeby nam obrzydzić (no i ob-żydzić) Mickiewicza?

NAUKA I LITERATURA

FRANCJA I POLSKA

(Rozwój stosunków politycznych i kulturalnych do XIX w.)

ZAGADNIENIE rozwoju stosunków francusko-polskich doczekało się nareszcie pewnego syntetycznego ujęcia w pracy dr. Stanisława Łukasika: *„La France et la Pologne á travers les siècles“*[1]). Wprawdzie i ta praca nie wyczerpuje kwestji całkowicie, jest jednakże poważnym krokiem naprzód w badaniach nad stosunkami polsko-francuskiemi. Rozwój stosunków politycznych ujął o wiele obszerniej i dobitniej gen. Wł. Sikorski w swej pracy: „Francja i Polska w przyszłości i dobie obecnej“. Niektóre zagadnienia kulturalne, literackie i historyczne doczekały się mniejszych czy większych opracowań przez znanych naszych badaczy historji literatury i historyków. Praca dr-a Łukasika jest pierwszą, która ujmuje całość zagadnienia i z tego powodu, mimo niekompletności i pewnych luk, zasługuje na uwagę.

W rozdziale pierwszym (*„Rélations politiques et diplomatiques“*), uwypukla autor ambicje polityczne Francji i rolę polityki francuskiej w Polsce od Ludwika XII do Ludwika XV, kładąc nacisk na nieszczerość i interesowność polityków francuskich w stosunku do Polski (Henryk Walezy, Ludwik XIV, kardynał Fleury).

Poza sumiennem zestawieniem faktów rozdział ten nic nowego nie wnosi do dotychczasowych badań. Bardziej interesująco ujął autor stosunki bezpośrednie Polaków z cywilizacją francuską. Przypomina więc autor dzieło cywilizacyjne francuskich Benedyktynów w Polsce, wyjazdy Polaków do Francji dla kształcenia się i poznania tego kraju. O żywości tych stosunków świadczyć mogą fakty, że tłumaczono na język francuski prace Hozjusza i Herburta, że Francuz z Thionville, Piotr Halisius napisał pierwszą gramatykę polską. Dużo miejsca poświęca autor charakterystyce kultu francuzczyzny w Polsce (kwestja „fircyka“), podnosząc równocześnie, że tłumaczeń polskich z języka francuskiego było niepomiernie mało, i tak w wieku XVII zaledwie: *„Judith“*, *„Cid“*, *„Andromède“* i kilka bajek La Fontaine'a. Dość żywa była wymiana w stosunkach artystycznych w wieku XVII. Malarze: Jan Ziarnko (malował m. in. zamordowanie Henryka, widoki rozmaitych miast francuskich), Aleksander Ubelski i J. Flak cieszyli się dużą renomą artystyczną w Paryżu, jak odwrotnie François Desportes i Piotr Vaneau zażywali dużego szacunku na dworze Jana Sobieskiego. W wieku XVIII kult francuzczyzny w Polsce dochodzi do zenitu, czego następstwem jest m. in. kilka podręczników języka francuskiego, słowników polsko-francuskich, gramatyk języka francuskiego oraz znaczna ilość tłumaczeń z literatury francuskiej tudzież francuskich z literatury polskiej.

Autor pominął charakterystyczny dokument stosunków bezpośrednich francusko-polskich, o którym wspomina prof. Uniw. Pozn. dr. Morawski w „Kurjerze Poznańskim“, w artykule p. t. „Francuz na Targu Krakowskim“ („Kur. Pozn.“ Dział Kultury i Sztuki № 205, z dnia 5.V.33). Dokumentem tym jest dziennik podróży Francuza, Jakóba Esprinchard, dorzucający niejeden ciekawy szczegół do charakterystyki stosunków bezpośrednich polsko-francuskich.

Rozdziały III—VI poświęcone są wzajemnym wpływom literackim (III. Poprzez literaturę średniowieczną. IV. Wpływ francuski na poezję polską. V. Promieniowanie teatru francuskiego w Polsce. VI. Prozatorzy francuscy w Polsce). W rozdziałach tych, prócz materjałów już znanych, znajdziemy niejedne nowe, ciekawe szczegóły. Jako pewną aktualność podkreślamy ustęp z La Fontaine'a o królu Janie Sobieskim, którego poeta wspomina w *„Discours à M-me de la Sablière“*, podkreślając sławę wielkiego pogromcy Turków, choć nazwiska nie wymienia.

Mimo ogromnej popularności, jaką cieszyły się u nas bajki La Fontaine'a i wpływu, jaki wywarły na naszych bajkopisarzy, pojawia się pierwsze, nieszczególne ich tłumaczenie dopiero w r. 1699 (Krzysztof Niemirycz z Czernichowa), drugie o 32 lata później: 1731 (St. Jabłonowskiego). Z pisarzy francuskich XVII w., którzy wywarli znaczny wpływ na naszą literaturę, wymienia dr. Łukasik, prócz La Fontaine'a, jeszcze Boileau'a, a w XVIII w. Voltaire'a i Delille'a, podczas gdy Malherbe i Voiture nie byli w Polsce znani. Omawiając wpływ Ronsarda na Kochanowskiego, znaczenie podróży Kochanowskiego do Francji, pominął autor ciekawą pracę dr. Kota („Podróże Jana Kochanowskiego“), interesujące hypotezy Jacques'a Langlade'a (W „Kulturze Staropolskiej“, Pamiętniku Zjazdu ku czci J. K.), nie wspomniał także o próbie wyjaśnienia kwestji Francuzki (*„Ad Gallam“*) podjętej przez Hoesicka („Paryż“: O pewnej smutnej gamratce). Z prozy francuskiej, tłumaczonej na język polski, wymienia Łukasik Le Sage'a: *„Le Diable boiteux“*, Prévosta — *„Manon Lescaut“*, kilka opowiadań filozoficznych Voltaire'a, „Listy Perskie“ — Monteskjusza i kilku mniej znanych autorów. Natomiast nie było zupełnie, dobrze u nas w oryginale znanej, „Nowej Heloizy“ Rousseau'a w przekładzie polskim, a tłumaczenie „Pawła i Wirginji“ Bernardin de'St. Pierre'a, (o którego pobycie w Polsce zajmująco opowiada Stanisław Wasylewski), pojawiło się stosunkowo późno. Dwa ostatnie rozdziały pracy d-ra Łukasika zasługują na szczególne uznanie („Francja w literaturze polskiej“ i „Polska w literaturze francuskiej“). Okazuje się, że nie było jednego utworu polskiego, w którymby Francja wystąpiła na plan pierwszy. Niezupełnie to jednak ścisłe. Hoesick w swojej książce „Paryż“ omawia szeroko anonimowy romans polski p. t. „Polak w Paryżu“. Powieść ta ukazała się u Dufoura (1787) w Warszawie, a cała akcja odgrywa się w Paryżu. Jako domniemanych autorów wymienia Hoesick: Czartoryskiego, Trembeckiego lub Dmochowskiego.

Mimo że praca dr-a Łukasika (jak się autor sam zastrzega) jest tylko *„un apperçu général“* i nie pretenduje do wyczerpania tak obszernego tematu, przedstawia ona rzetelną wartość. Dla naszych romanistów może być doskonałym bodźcem do zgruntowania zagadnienia stosunków polsko-francuskich, ciekawych nietylko ze względów na naszą przyjaźń z Francją, ale i dla wykazania promieniowania kultury polskiej we Francji i zależności naszej literatury od pewnych wpływów piśmiennictwa francuskiego. Kwestja ta wypłynie szerzej w zapowiedzianym przez dr. Łukasika drugim tomie, który obejmie wiek XIX i XX.

ALFRED JESIONOWSKI

---

[1]) Dr. St. Łukasik: *„La France et la Pologne á travers les siècles (Jusqu'á la Grande Révolution)“* Paris 1933. Gebethner et Wolff.

ZE ŚWIATA NAUKI I LITERATURY

Profesor socjologji uniw. poznańskiego, Florjan Znaniecki, zaproszony przez sekcję polską Międzynarodowej Ligi Nowego Wychowania — wygłosił dwa odczyty na temat „wychowania społecznego w zmiennej cywilizacji". Pierwszy odczyt był poświęcony krytyce wyników społecznych obecnego wychowania, które da się podzielić na wychowanie przygotowawcze, kształtujące młode pokolenie i wychowanie realne dorosłych jednostek, pozostających pod wpływem tych czy innych grup społecznych.

Autor zaznacza, że to drugie wychowanie wywiera większy wpływ, przekształca bowiem nieraz zasadniczo naszą jaźń, która się odźwierciadla jako osobna psychika w każdem z poszczególnych kół społecznych (rodzina, związek, stowarzyszenie, kościół) do których należy. Każde takie koło społeczne interesuje się tem, czem będzie dany człowiek w przyszłości. Przyszłość ta, w dzisiejszym układzie stosunków jest coraz niepewniejsza. Nadchodzą wielkie zmiany, które mogą zupełnie zniszczyć dorobki naszej cywilizacji, albo też tak je przekształcić, że następne pokolenia będą żyły w zupełnie nowych warunkach, do których należy je przygotować. Tu prelegent stawia hypotezę, że w niedalekiej przyszłości zniknie hjerarchja społeczna, oparta na monopolu ludzi wykształconych, jednem słowem zmierzch inteligencji!

Narazie całe wychowanie nastawione jest na specjalizację, która daje gwarancje pewnego *minimum* ekonomicznego.

Gwarancje te są coraz słabsze, coraz to mniej szans na zdobycie stanowisk. Skończyć się też musi rola władców, których zastąpią przodownicy wielkich grup społecznych.

Drugi odczyt na temat potrzeb i możliwości nowego wychowania wypadł znacznie słabiej niż pierwszy. Profesor zabawił się w horoskopy, bardzo pokrewne w treści ideałom bolszewickim. Przepowiednia niedługiej agonji grup narodowo-terytorjalnych, kościoła, oraz oparcie budowy przyszłego życia społecznego na federacjach dzieci i młodzieży, na ich rzekomo samoistnej jakiejś „kulturze dziecięcej", zredukowanie wychowawcy do roli doradcy — są to zbyt znane postulaty komunizmu.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ekspansja kulturalna Polski od samego początku łączyła się ściśle z jej misją religijną. W tradycji potomnych dotrwał zaszczytny dla naszej Ojczyzny tytuł „przedmurze chrześcijaństwa". Mniej natomiast słyszy się o czynie apostolskim narodu naszego; są tacy, którzy sądzą, że ograniczał on się tylko do ochrzczenia Litwy. W proch niestety rozpadł się starodawny nagrobek Bolesława Chrobrego, na którym widniał napis „*athleta Christi*", ale dzisiejsze badania stwierdzają, że napis ten nie był frazesem; nietylko bowiem akcja św. Wojciecha w Prusiech, ale i walki Chrobrego z Rusią wiązały się z ideą szerzenia wiary katolickiej. Przez wieki całe, już w epoce Piastów, Polska nosiła w sobie zadanie unji kościelnej; odżywało ono za Odnowiciela, Bolesława Śmiałego, za Krzywoustego, Leszka Białego—najwięcej tu zdziałał najpierw biskup Reinbern, następnie św. Jacek Odrowąż — aż za Jagiellonów i Wazów, przez unję florencką i brzeską, została ta sprawa ugruntowana definitywnie. Nie skończyła się jednak wtedy: w XIX wieku obrona unji przeciw rusyfikatorskim zakusom Siemaszki, Popiela i Eulogjusza była jednocześnie sprawą narodową polską, w dobie zaś ostatniej, po rewolucji marcowej, znaczny był udział Polaków w ruchu unijnym w Rosji — w Polsce też powstały, już po wojnie, ośrodki obrządku wschodniego; pozatem od w. XIV po dziś dzień istnieje w Mołdawji polska misja katolicka, od XVI wieku (Warszewicki) kierowana przez jezuitów. Terenem misyj było przez kilka wieków i Pomorze, póki sprawy nie zepsuł niefortunny pomysł sprowadzenia Krzyżaków; były też próby nawracania Szwecji (za Zygmunta III). Niedość jednak na tem; misjonarze polscy już w XIII wieku trafiali w głąb Azji, od XVI wieku zaś Polska miała protektorat nad misjami w Persji. W XVII wieku został w Japonji umęczony jej apostoł ks. Męciński, widzimy też polskich misjonarzy w Indjach i Chinach — wśród nich był ks. Boim, syn fundatora słynnej kaplicy lwowskiej. Teraz te terytorja są znów widownią polskiej pracy misjonarskiej; na Sachalinie, w Chinach, w Japonji pracują księża polscy, nawet biskupi—Polacy. Z czasem działalność ta rozciągnęła się i na Afrykę, gdzie prócz placówek w Boromie, Zambezi i Rodezji godzien wielkiej pamięci jest bohaterski lekarz trędowatych, ks. Beyzym. Południowa Ameryka też Polakom w znacznej części propagandę wiary katolickiej zawdzięcza.

O wszystkich tych faktach pisze zajmująco, choć treściwie K. Kapitańczyk w książce „Udział Polski w dziele misyjnem" (Poznań, Księgarnia św. Wojciecha). Pochwalić należy skrzętność młodego badacza i jego sumienność; w kilku tylko miejscach zauważyliśmy parę drobnych omyłek, że wspomnimy na str. 7-ej wyodrębnienie Chorwatów od Kroatów, choć są to dwie nazwy jednego narodu. (J. B.).

MUZYKA

SZYMANOWSKI dał nowy wyraz skrzypcom. Wyzyskał jak nikt przed nim tworzywo, którem jest dla kompozytora instrument, poznał jego tajniki, dzięki czemu nietylko wzbogacił zdobycze formalne, lecz przedewszystkiem pogłębił ekspresję. Stało się to dlatego, że poszukiwanie formy było dla niego nie celem wyłącznie, a środkiem dla wypowiedzenia się. Jest to droga właściwa, rozwiązywanie bowiem jedynie zagadnienia formy, zagadnienia, które objęło w ostatnich czasach wszelkie dziedziny sztuki, wypaczyło w konsekwencji samo jej pojęcie. To przeintelektualizowanie sztuki odebrało jej bezpośredniość, a przez to pozbawiło tej siły, która jest cechą dzieła poczętego nietylko z przemyślenia.

II-gi koncert Szymanowskiego, wykonany po raz pierwszy 6-go października w Warszawie, tę siłę posiada. Tak się stało, że koncert ten napisany w roku, w którym kompozytor kończy lat pięćdziesiąt, ma bezwzględnie charakter syntetyczny, wiążący elementy, będące podkładem dla dwu tak charakterystycznych okresów twórczości Szymanowskiego. Element liryczny, tkwiący w nim samym, wyraźny w jego pierwszych utworach, a przebijający się wciąż przez całą jego późniejszą twórczość, element dzięki któremu uniknął także szczęśliwie wpływów ówczesnej programowo - estetycznej muzyki polskiej, a poszedł drogą swoich doświadczeń i poszukiwań, oraz element pierwotnej muzyki Podhala, która wywarła takie wrażenie na kompozytorze, że jej zawdzięczamy nietylko nowe zbogacenie środków muzycznych, lecz także zwrot w ideowości twórczości jego.

Stronę liryczną podkreślają w koncercie skrzypce solowe, które prowadzą na rytmicznem tle orkiestry, związane z nią ściśle, tak, że wodzący wciąż temat, oparty na motywie charakterystycznym dla Szymanowskiego po jego zetknięciu się z muzyką Podhala, nadaje tłu, a przez to całemu utworowi swój liryczny charakter. Przez zespolenie tych elementów osiągnął Szymanowski bardzo ciekawy i właśnie syntetyczny charakter.

Koncert jest zbudowany z jednej części. Rozłupuje go kadencja, napisana przez Pawła Kochańskiego, zbędna, niepotrzebna. Przerywa efekt i każe przysłuchiwać się popisowi wykonawcy. Ma się chwilowo wrażenie, że słucha się utworu, pisanego pod kątem ukazania wirtuozji skrzypka, całej jego technicznej akrobatyki. Usiłowanie podciągnięcia kadencji do charakteru koncertu nie naprawia przykrego wrażenia. A przecież jest on jednem, głębokiem dziełem, w którem nie o wykonawcę chodziło, a o wypowiedzenie się muzyczne kompozytora.

Sztuka wielka jest prosta. W II-gim koncercie Szymanowski nie tyle ukazał nam całe bogactwo środków, ile rozporządził niem dla wydobycia wyrazu. Głębokiego wyrazu. Dlatego koncert ten jest istotnym nabytkiem kultury narodowej.

W. NARUSZ.

FILM

ALFA: „Martwy dom" wedł. Dostojewskiego, reż. Fedorow. Zalety tego filmu są typowe dla kinematografji rosyjskiej. A więc przedewszystkiem świetnie wybierane i komponowane na ekranie fragmenty treści plastycznej. Ze zbyt wyłącznego opracowania tej strony filmu wynikły i wady. Trzeba pamiętać, że film jest opowiadaniem, zapomocą szeregu pojedyńczych, zestawianych z sobą obrazów. Jeśli zadbamy tylko o piękno oddzielnych fragmentów, a mniej o wiązanie ich w całość, nadającą wartki, konsekwentnie rozwijający się bieg akcji — oczywiście kompozycja treści literackiej będzie szwankować. Szwankuje tu też i dynamika niektórych scen.

Tempo powolne. Zakończenie nie ma kropki. Oczywiście kropki artystycznej. Mam wrażenie, że z filmu dużo wycięto.

KANDYD

OFENSYWA

UPADEK DOMU MOSSE

JEST taka nowela Edgara Alana Poego: „Upadek domu Usher'ów", ongiś dreszczem zgrozy wzruszająca.

Jakież to atoli blade, spłowiałe i nijakie, jeżeli się porówna z tragicznym upadkiem domu Mosse w Berlinie.

Jeszcze rok temu co za potęga, co za potencja, co za *emporium!* Taki numer propagandowy ku czci Sowietów (8 maja 1932), gruby jak Stary Testament, dwieście stron. W samej Polsce rozchodziło się tego do 40.000 (czterdziestu tysięcy) egzemplarzy. Nie było kawiarni, w której bywał choć jeden Margulies, żeby natychmiast nie zażądano zaprenumerowania „*Tagblatt*'u" (inaczej nie będą przychodzić). W kioskach gazetowych, na dworcach kolejowych całe sterty. Bez przewertowania „*Berliner Tageblatt*'u" nie mógł się położyć spać najbardziej zasymilowany warszawski mecenas. W „*Berliner Tageblatt*" jak w *Talmud - Torę* wierzył ślepo i rabin i chaluc i mełamed i Maliniak. Nie zbyt ostentacyjnie a dyskretnie zaczytywali się w nim i Dicksteiny i Fajanse. „*Berliner Tageblatt*" we wszystkich trzech „zaborach" był poprostu ewangelją starozakonną, alfą i omegą wszystkich orjentacyj politycznych, kopalnią dla przedruków, busolą we wszystkich dziedzinach spraw społecznych i politycznych, ostatnią instancją: *Mosse locuta, causa finita.* Galicyjscy jeszcze czasem orjentowali się wedle „*Neue Freie Presse*". Ale warszawscy, łódzcy i Pryluccy tylko wedle ceduły politycznej „*Berliner Tageblatt*'u". Na ścianie mogły wisieć Józef przy Józefie, francuski marszałek przy polskim marszałku, ale na stole czy na biurku zawsze stos „*Berliner Tageblatt*'ów" czy to u Toeplitzów, czy to u Gliwiców. A tak jak u nas, tak na całym globie i w Valparaiso i w Timbuktu i w Salonikach i w Warażdynie.

W Berlinie olbrzymi drapacz nieba przy Kurfurstendamm; oprócz tego wspaniały *Mosse-Haus* „pałac prasy", cokolwiek bardziej imponujący od tego na „Psiej Górce" w Krakowie. A w pałacu osiem maszyn rotacyjnych kolosów a tysiąc osób personelu jak w „warenhauzie" Wertheima. Poszczególni koncernowi dyrektorzy rezydowali w willach i pałacykach w Thiergarten - *viertel* lub jeszcze dalej, co było łatwe, gdyż każdy żydowin miał swego Mercedesa czy Benza.

Założycielem tego wszystkiego był syn lekarza z Grodziska (Wielkopolskiego), kilkanaście lat temu zmarły Rudolf Mosse, człeczyna karlego wzrostu, kobold z gatunku takich, co to „mogą się przyśnić", ale *kepełe*, genjusz organizacyjny. Kiedy musiał żegnać się z tym światem i z Berlinem, zostawił fortunę 120 miljonów marek i był największym płatnikiem podatkowym w stolicy; nadto zostawił wdowę też koszmarnie brzydką Emilję, dzieci żadnych, tylko przybraną córę Felicitas, jednego siostrzeńca i jednego bratanka. Siostrzeniec wabił się Carbe, nazywano go Krabbe i był kretynowaty. Bratanek, też Rudolf, został obywatelem ziemskim, gdyż kupił *Rittergut*, zapuścił wąs zawiesisty i gospodarował nie chcąc mieć z żydami nic wspólnego: junkier Mosse. Felicitas stanęła pod baldachimem z niejakim Lachmanem, który w pierwszych latach zdawał się być kongenjalnym staremu Mossemu, jego faworytem i kontynuatorem a wogóle *gentleman*'em, a który, jak się niedawno okazało „*hat sich entpuppt*" zdemaskował się jako wyjątkowo nieprzyjemny łobuz, *ganef* i co to ukrywać, świntuch, „*ein ganz gemeiner Schweinekerl*". Ale nie uprzedzajmy przypadków...

W salonach Emilji i Felicitas bywał „*tout Berlin*" ściślej mówiąc cała izra-elita. Nie tylko giełda i banki, ale profesorzy, artyści, pianiści, *geiger*'y, *violin - virtuos*'y ale także pożenieni z posażnemi córami Wschodu arystokraci, generałowie, podupadłe hrabiny, pewien gatunek pastorów, biskupi amerykańscy, portreciści. Kiedy jeszcze żył stary papa Mosse, przy czarnej kawie w gabinecie, po koniakach, mówiono czasem, ot tak dla figlów, żargonkiem, a papa lubiał w rozmowach ze znakomitościami (*celebritäten*) ze Wschodu wplątać nawet coś polskiego, tak dla *wits*'a, na przekór. Na jednym z raut'ów był podobno raz *Kronprinz* a dwa razy książę duński i jeden grecki, nadto syn szacha Nasreddina, dalej ma się rozumieć (*sebbstverstaendlich*) wszyscy miljonerzy amerykańscy, którzy przejeżdżali przez Berlin. Pałac oczywiście przepełniony dziełami sztuki. Co gdzie jaki genjalny Epstein wymalował lub wyrzeźbił a „*Kunstenuer*'y" Cassirer, Meier-Graefe, Dessoir (Dessauer) polecili, to zaraz wisiało lub stało w Baltazarowym pałacu. Był tam i „ogród zimowy" z „*Palmen Garten*"em" i basen z ciepłą wodą i piwnice na wino „*elektrisch beleuchtet*" i trzy fortepiany i papugi i koty angora i kamerdynerzy z siwemi bokabrodami. Rzecz prosta, że konkurencyjna familja Ullstein (*Tante Voss*) z zazdrości poprostu żółkła i zieleniała.

Psuć zaczęło się jeszcze przed nastaniem wodza Amalekitów i jego legjonów.

Podczas gdy bratanek Rudolf zdala od zgiełku na wsi gospodarował, mąż adoptowanej Felicitas dostał szału ekspansji. Budował, skupował, rozszerzał, awanturował się, dostał manji wielkości, zdawało mu się, że jest... Hearstem Pulitzerem lub zgoła Ochsem („*N. Y. Times*"), aż wreszcie „rozbudowa" zaczęła trzeszczeć w fundamentach. Do sanowania geszeftu wzięto nowe *kepełe*, niejakiego Karola Vettera, specjalistę od racjonalizacji (czytaj: redukcji). Drapacz nieba stał pusty, inseraty zaczęły się kurczyć a światowa agencja reklamowa okazała się deficytową. Dla zamerykanizowania wprowadzono maszyny buchalteryjne, przyczem kilkuset żydków straciło posady. Poczem zwinięto kilka pism. I znów kilkuset żydków straciło chleb z masłem. Sanator i Taylorysta Vetter zaczął iść na udry i żreć się o władzę z mężem Felicitas. Już szykowały się do pochodu na Berlin zbrojne bandy Gotów i Wizygotów, kiedy przyszedł pierwszy krach na dom Mosse a na ścianach pałacu łysnęły płomieniste *Mane! Tekel! Upharisim!*

Wtedy to pomógł dynastji kanclerz katolicki *pater* Brüning, wpłynąwszy na „*Dresdner Bank*", aby zastrzyknął tym żydom... kilka miljonów...

Pomogło tyle co umarlakowi kadzidło. Mosse - Lehman, mąż Felicitas oddał „cugle tonącego okrętu" całkowicie w ręce tego *myszugge* Vettera, a sam rozgoryczony cofnął się do swego majątku na wieś do dworu. A Vetter już zwąchał się ze znajomymi *Nazi.* Zażądano tylko bagatelki, to jest stuprocentowej zmiany orjentacji i oczywiście (*selbstverstandlich*) usunięcia wszystkich żydów. I metamorfozy dokonano szybko i bezceremonjalnie, coprawda wraz z różnemi grubemi szachrajstwami, jak z oddzieleniem zagranicznej agencji reklamowej w osobną spółkę, jak z zamianą centrali na spółkę „*mit beschränkter Haftung*", jak z podwyższeniem rabatu za ogłoszenia zagranicą, ale pozostawienie pieniędzy zagranicą (bierna ucieczka kapitału) i t. p. I wtedy nastąpił krach ostateczny. Na dany znak, na daną komendę wszystkie Izraele na całym globie przestały brać do ręki i kłaść się spać z „*Berliner Tageblatt*'em". Hans Lachman z Felicitas Mosse uciekli do Paryża. Nic nikomu nie zapłacili przedtem, jeszcze skonfiskowali (zdefraudowali) fundusz pensyjny współpracowników. Na telegramy błagalne nie odpowiadali. Zamieszkali w luksusowej dzielnicy jako „banici". W Niemczech został tylko *Rittergutsbesitrer* Rudolf Mosse.

Tydzień temu aresztowano go, a gdy chciał uciekać zastrzelono; żona uciekła do Londynu.

W Paryżu zaś do mieszkania państwa Lachman-Mosse pewnego pięknego dnia wdarła się przemocą delegacja z kilkunastu byłych współpracowników *B. T.*, obecnie emigrantów. Po krótkiej wymianie poglądów kolejno kilkunastu pokrzywdzonych wypoliczkowało i poturbowało bezbronnego Lachmana-Mosse, co emigranckie pisma żydowskie opisały z radosną dokładnością, bez cienia wstydu.

Sic transit gloria Bundi. Maleparta idą do czarta. Zdetronizowano dynastję, która więcej niż ćwierć wieku trzęsła Berlinem i z bezgraniczną apodyktycznością dyktowała narodowi — gospodarzowi jak się ma zachować, jak ma postępować. Jeszcze w styczniu b. r. polityczny leader *B. T.* Teodor Wolff przypominał o konieczności uregulowania sprawy „Korytarza" i Gdańska; teraz gdzieś znikł zupełnie, a dom Mosse, *dominium* Mosse już nie egzystuje. „*Berliner Tageblatt*" podobno wychodzi, ale dla prywatnej cyrkulacji... z wykluczeniem publiczności. Z dawnej potęgi ani śladu! *Nec locus ubi Troia fuit.*

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Gazeta Polska" ogłosiła komunikat, obwieszczający, że Polska szlachecka skończyła się w dn. 5 października r. b. Termin składania ofert na nową cywilizację ustalony będzie niebawem.

*

Po powrocie z Krakowa.

— Piękna była uroczystość, ale — powiedzcie — czy nie byłoby przyjemniej, gdyby przedstawicieli Polski witał w murach dawnej stolicy imieniem miasta nie p. Kapellner-Kaplicki, lecz jakiś, dajmy na to, Zyblikiewicz, czy Szlachtowski?

— Ach, ty endeku! Minęły czasy Polski szlacheckiej i mieszczańska się już skończyła... Nowe są czasy.

— To prawda, gdybym nie wiedział, że idziemy z postępem, tobym się martwił...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.